

ROK II. NR. 1
WARSZAWA
SOBOTA
6-1-1934 R.
CENA 50 GR.

PIION

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

WŁADYSŁAW POBÓG - MALINOWSKI

JÓZEF PIŁSUDSKI W TOKJO

I.

W r. 1904 — w początkowym okresie wojny rosyjsko-japońskiej i związanego z tą wojną fermentu politycznego w całym państwie — jedyną u nas szczerą przedstawicielką ruchu rewolucyjnego była Polska Partja Socjalistyczna. W ówczesnej zbiorowości polskiej była ona organizacją bezsprzecznie najruchliwszą, silną nie tyle liczbą, co od wagą wystąpienia. Wpływ jej moralny na otoczenie — dzięki poprzedniej dziesięcioletniej wyteżonej pracy agitacyjnej — był wielki i głęboki. Pod względem technicznym jednak siły jej były znikomo małe. Jak słusznie stwierdzał Piłsudski w jednym ze swych przedwojennych wykładów — ludzi, zorganizowanych w partji, było nie więcej, jak tysiąc. Najlepiej, najściślej zorganizowane były szczyty. W miarę jednak posuwania się w dół organizacja, przystosowana do warunków niewolniczego życia pod caratem i głównego swego zadania — agitacji w masach najszerszych, stawała się luźniejszą, bardziej nieokreśloną, nawet nieuchwytną. W związku z tem zanikała tu, w dół, zdolność do jakichkolwiek „czynności faktycznych”. Z wspomnianego tysiąca zatem należałoby odrzucić conajmniej trzy czwarte na elementy nieważkie. Zostawało więc na ogromny naród zaledwie paruset ludzi. „Rozumiałem — pisze we „Wspomnieniu o Grzybowie” Piłsudski, stojący podówczas na czele P. P. S. — rozumiałem, że zrobić dużo nie jesteśmy w stanie, rozumiałem dobrze, że znikomo mali jesteśmy wobec ogromu wysiłków, do których zmusza wojna każde państwo”. W liście jednak z końca lutego 1904 r. stwierdzał konieczność akcji jakiegokolwiek, bo — pisał — „obojętnie, bierne stanowisko dla nas jest na nic, bo jeśli nie zaraz, to po pewnym czasie stracimy wpływ i znaczenie w społeczeństwie i masach”. Przeświadczenie to zdecydowało o losach P. P. S., o jej dalszym, wspaniałym rozwoju; nie cofnęła się ona przed wypadkami, przeciwnie — poszła im na spotkanie, niejednokrotnie nawet wyprzedzała je. Poprzez demonstracje pokojowe i zbrojne, poprzez strajki i walkę orężną, utrzymaną na najwyższym poziomie bohaterstwa, poświęcenia się, etyki, poprzez próby stworzenia kadrow polskiego wojska — szła konsekwentnie i u parcie ku głównemu swemu celowi, niepoślęgliwości Polski, szła, krwią i śmiercią na szubienicy uzasadniając prawo do czerwie, ni swego sztandaru.

Wiadomość o konflikcie na Dalekim Wschodzie zastała Piłsudskiego w Siedlcach; przybył on tu z Krakowa w celu rozmówienia się z towarzyszami partyjnymi w sprawie przeniesienia tajnej drukarni „Robotnika” z Rygi do kraju, odczuwano bowiem coraz bardziej potrzebę drukowania odezwy i ulotek bliżej centrum ruchu. Wiadomość o wojnie i manifestcie cara przewróciła, naturalnie, te plany. Trzeba było pomyśleć i skonstruować plan inny, plan, któryby — jak stwierdza Piłsudski — dał możliwość jakiegokolwiek reakcji na wypadek tak wielkiej miary, jak wejście państwa zaborczego w stan wojny. Wymagało to przede wszystkim gruntownej reformy i reorganizacji. Odbывa więc Piłsudski szereg rozmów z działaczami partyjnymi w Warszawie, przekonywując ich o konieczności stworzenia —

jak określa w liście z tych czasów — „specjalnej organizacji” — „nawpół wojskowej”, dającej się użyć do wszystkiego, karnej i dostatecznie sprężystej, by na nią liczyć można było”. Trudno mu szło z tem narazie, bo — jak sam w liście stwierdza — „organizatorzy warszawscy tak po uszy ugrzęźli w ekonomizmie, fachowości i innych sprawach drobnych, tak szarością życia codziennego byli zahypnotyzowani, że z trudem oswajali się z myślą o czemś nowem, dotąd nie wypróbowanem”. Ten stan rzeczy utwierdza Piłsudskiego jeszcze bardziej w przekonaniu o potrzebie „przygotowania chociażby trochę nastroju dla przyszłej pracy, która musiała nabrać charakteru bardziej realnego i zbliżającego się do otwartego protestu” przeciwko udziałowi naszemu w dalekiej i obcej nam wojnie. Przy ówczesnym stanie środków i sił partyjnych przebiegać nie było w czem. Zatrzymuje się więc Piłsudski na jedynym, wówczas możliwym, „najprostszym”, „najwykolejszym” sposobie reakcji — nie tracąc czasu, jednocześnie zapewne z pierwszemi rozmowami o reformie organizacji — siada do pisania odezwy, jak zwykłe — w formie plamiennego protestu. Niestety jednak, napisana przez niego odezwa w druku nie wyszła. Dzięki pewnym nieporozumieniom — Feliks Perl — ówczesny redaktor „Robotnika” — wydał swoją — błądą, anemiczną, bierną, nic nie mówiącą, stwierdzającą, że „gdy dwie burżuazje się biją, to proletarijatomu nic po tem”. Naprawić wynikłej tu szkody ze względów technicznych nie było już można. „Zbesztalem Felka tak — stwierdza Piłsudski — jak może rzadko człowieka besztalem”. Na dłuższe medytacje z tego powodu nie było czasu. Konieczność akcji narzucała się z nieodpartą siłą. Brak potrzebnych pieniędzy zmusza Piłsudskiego do prób zdobycia ich nawet w sferach, do których P. P. S. dotąd jeszcze nie sięgała. Jednocześnie pobiera on decyzję, która w skutkach swych przypomina zarządzenia mobilizacyjne. Osobiście lub — w paru wypadkach tylko — przez swe najbliższe otoczenie dociera do ośrodków polskiej młodzieży uniwersyteckiej w Rosji, odbywa szereg zebrań, przemawia, wyraża przekonanie o pewnym zwycięstwie Japonji, wskazuje na możliwość powstania w Rosji ruchów rewolucyjnych i narodowościowych, co ułatwić musi zadanie polskie — i wzywa młodzież do złożenia deklaracji o zupełnej gotowości podporządkowania się rozkazom partji — wyjechać zaraz, gdzie każą, robić wszystko, co każą. W Petersburgu — jednocześnie z próbą zdobycia „monety” i mobilizowaniem młodzieży — wykorzystując swe niewielkie, jak powiada, stosunki i stara się „skontrolować w jakim stopniu i gdzie zachęca mobilizacja Polskę”; po paru dniach udało mu się zdobyć wiadomość, że „wobec stanu kolei sybirskiej, która nie dopuszczała do szybkiego przewozu wojsk, o jednoczesnej i wielkiej mobilizacji niema mowy” i że „w każdym razie mobilizacja w pierwszym rzędzie odbywać się będzie na samej Syberji i w niektórych tylko częściach moskiewskiego i kazańskiego okręgu wojskowego”. Wiadomość ta przyniosła znaczną ulgę — było jeszcze sporo czasu na prace reorganizacyjne. Nagle jednak zaszła potrzeba możliwie szybkiego opuszczenia terenu Królestwa i szukania bezpiecznego

schronienia za kordonem. W Warszawie i Petersburgu bowiem, zbierając pieniądze czy potrzebne wiadomości, wbrew zasadom konspiracji musiał zaangażować otwarcie swoje nazwisko w rozmowach, toczonych z ludźmi najzupełniej do konspiracji nieprzyzwoconymi; w rozmowach tych grały silne echo przeprowadzanych w tym czasie studjów nad powstaniem styczniowem; to też „wszystko wiedzący” departament policji rozesłał jego fotografie na wszystkie granice i do wszystkich urzędów żandarmerji i, oskarżając go o przygotowanie powstania zbrojnego w Polsce, wydał nakaz aresztowania. Trzeba było pokazać się na czas jakiś w Krakowie, by „uspokoić” policję i żandarmów.

Tu właśnie zastały Piłsudskiego pierwsze wiadomości o możliwości nawiązania konkretnych stosunków z Japonją. Sprawa ta w ramach organizacji nie była nowa. Bezpośrednio po wybuchu wojny na jednym ze specjalnych posiedzeń C. K. R. — najwyższej wówczas instancji partyjnej — wysunięto i zarano się rozstrzygnąć kwestję nawiązania tych stosunków. Wobec — w próbach nawiązania przez P. P. S. ściślej łączności z innymi stronnictwami politycznymi w Polsce, — i to w kierunku stworzenia czy znalezienia wspólnej linii wobec wojny, — wracano niejednokrotnie do „sprawy japońskiej”. Chodziło tu o sposób nakłonienia Japonji do aktywnego stanowiska w kwestji polskiej. Moment ten występował silnie zwłaszcza w pertraktacjach wstępnych z Narodową Demokracją, która, jak świadczy dokument, znalezione przeze mnie w Muzeum Rapperswilskim, dzięki pomocy opozycjonistów fińskich potrafiła nawiązać bezpośredni kontakt ze sferami japońskimi; frontem zwrócona jeszcze przeciw Rosji, pełna jednak była N. D. niewiary w skuteczność zbrojnego wysiłku polskiego; niechęć do akcji tego rodzaju górowała u niej widocznie. To też Piłsudski w prowadzonych konferencjach musiał wyrażać się bardzo ostrożnie i oględnie, by nie zastraszyć „gwałtownością” zarówno pomysłu, jak i środków. Użył on tu nawet „podstępu”, straszającego się w myśli sprowadzenia do kraju drogą kontrabandy większej ilości broni; broń tę proponował Piłsudski rozmyślnie „wsypać” zaraz po przeszarcowaniu, już po stronie rosyjskiej; powiedziała by ta „wsypa” władzom, że w Polsce szykuje się istotnie poważniejsze wystąpienie, i zmusiłaby je, lepiej i skuteczniej, niż inne środki i metody, do respektowania politycznych żądań polskich. O „wsypaniu” tej broni Piłsudski poważnie nie myślał i myśleć nie mógł, wiedział jednak, że tylko drogą takiego „podstępu” można zatrzymać N. D. przy myśli o nawiązaniu stosunków z Japonją. Pertraktacje te zresztą do żadnych praktycznych rezultatów nie doprowadziły — stronnictwo zawodowych oportunistów, konsekwentnie niezwykle w swem zamilowaniu do tanich ofiar i najłatwiejszych form zapakajania sumienia narodowego, nie wytrzymało próby i wpadło niebawem w objęcia prądu rusofilskiego.

Niezależnie od tych prób osiągnięcia porozumienia, a zgodnie ze wspomnianą wyżej intencją C. K. R., szukała P. P. S. bezpośredniego porozumienia się z Japonją. Pierwszej próby nawiązania stosunków dokonano w Wiedniu — próba ta jednak nie udała

T R E Ś Ć:

W Ł. P O B Ó G -
M A L I N O W S K I
P I Ł S U D S K I
W T O K I O
K A Z I M I E R A
I Ł Ł A K O W I C Z Ó W N A
„W A L L E N S T E I N”
D W I E S C E N Y
Z F R. S C H I L L E R A
R O Z M O W A Z P R O F.
L. Ś L E N D Z I Ń S K I M:
W D A Ż E N I U K U
W I E L K I E J S Z T U C E
J. C Z E C H O W I C Z
P R Z E K Ł A D W I E R S Z A
R. K I P L I N G A:
P O W R Ó T W O J S K
O L G I E R D G Ó R K A
„O G N I E M
I M I E C Z E M”
A R Z E C Z Y -
W I S T O Ś Ć
H I S T O R Y C Z N A
J. E. S K I W S K I
P O Z N A Ń
S. F L U K O W S K I
K L E O P A T R A N O R -
W I D A W T E A T R Z E
L W O W S K I M
S P R A W O Z D A N I A,
R E C E N Z J E, K R O N I K A



RUDYARD KIPLING

rys. Edw. Głowacki

POWRÓT WOJSK

Pokój zawarty i wracam oto do Hackneystadt, ja — lecz nie ja; bo nauczony już jaką cnotą i czym jest dla nas ta Wielka Gra. Trud mój był taki, jak innych trudy — — gdzie zmian początek, w czym one są? — byłem dzieciakiem z kraju uludy, a oto ze mnie myślący mąż.

O, gdyby Anglję stanowić miały jedynie farba, mosiądz, kit, lak, nie zaś mit twoich snów oniemiałych, to byś ją rzucił. Lecz nie jest tak!

się, poselstwo japońskie bowiem skierowało zainteresowanych do płk. Akashi'ego, podczas attache wojskowego japońskiego w Paryżu. Pertraktacje na gruncie paryskim, prowadzone w ciągu paru tygodni, z różnych względów i powodów rezultatów praktycznych nie dały. Zupełnie jednak niezależnie od prób wiedeńskich i paryskich robiono w tymże kierunku kroki w Londynie. Pewne stosunki klubu polskiego na Thomas Street (przewodniczącym był Wincenty Sikorski) — przedstawicielami świata amerykańskiego pozwoliły przekonać się tu o istnieniu na terenie międzynarodowym wielkiego stosunkowo zainteresowania kwestją polską — przeświadczenie to było jedyną zdobyczą w tych stosunkach. Niebawem jednak, a zupełnie niezależnie od tego, uzyskano tutaj kontakt bezpośredni ze sferami japońskimi. Tytus Filipowicz, przebywający wówczas stale w Londynie, wraz z Aleksandrem Malinowskim i B. A. Jędrzejowskim, cieszył się sympatją i życzliwością pewnego Anglika, kolegi ze szkoły nauk politycznych w Londynie; dzięki niemu udało się Filipowiczowi zawiązać znajomość z majorem Utsunomia, attache wojskowym japońskim w Londynie. Filipowicz, zorientowawszy się szybko w korzyściach, jakie dla sprawy mogą stąd wyniknąć, po naradzie z Malinowskim i Jędrzejowskim, postanowił tę przygodną znajomość wyzyskać, zawiadamiając o tem władze krajowe P. P. S. Pierwsza zasadnicza rozmowa odbyła się w mieszkaniu Utsunomii na St. James, Filipowicz

szczegółowo omówił tu położenie Polski i jej znaczenie w organizmie państwowym Rosji; jednocześnie wtłaczał rozmówcy w głowę wszystko, co mogło powiedzieć i przekonać o znaczeniu P. P. S. w zbiorowości polskiej, o charakterze jej, wpływach, dążeniach. Przyjęto przy tem za zasadę zachowania tej — wszystkich następnych rozmów w jak największej tajemnicy. Przejorność tę i ostrożność zastosowano także i względem paryskiego pułkownika Akashi'ego, który — z racji swego stanowiska — utrzymywał ścisły kontakt z przedstawicielami ruchu rewolucyjnego różnych narodowości, wchodzących w skład państwa rosyjskiego, — i pozostawał wskutek tego pod stałą obserwacją szpiegów rosyjskich. Przejorność ta była najzupełniej uzasadniona — już po zawarciu pokoju w Portsmouth moskiewskie „Nowoje Wriemnia” wydało broszurę, pełną kopij listów, pisanych do Akashi'ego przez rewolucjonistów rosyjskich i fińskich; wciskająca się wszędzie „ochrana” znalazła dla siebie jakąś ścieżynę i tutaj.

Rozmowy Filipowicza z Utsunomią, prowadzone za każdym razem po uprzednim omówieniu szczegółów z B. A. Jędrzejowskim, trwały parę tygodni. Gdy Japończyk, nie orientujący się dotąd najzupełniej w powikłanych sprawach polskich, nabral dla nich głębokiego już szacunku, gdy zaczął zdawać sobie sprawę z ich międzynarodowego znaczenia, Filipowicz uznał za możliwe wyrażenie w imieniu P. P. S. chęci do nawiązania bliższych stosunków z Japonją.

Utsunomia życzenie to powitał z nieklamana i nieukrywaną wcale radością i po paru dniach, potrzebnych na wymianę depesz z Tokio, zakomunikował, że jego władze o czyste zapraszają w charakterze gości przedstawicieli P. P. S. do odległego Tokio. O zaproszeniu tem powiadomił Filipowicz bez zwłocznie władze krajowe P. P. S. Tutaj, na specjalnem posiedzeniu C. K. R., sprawę tę omówiono w szczegółach i dokonano wyboru przedstawicieli. „Mogłem być się zgodzić na wyjazd innych osób, lecz zdecydowałem jechać osobiście — pisze Piłsudski w swych „Poprawkach Historycznych”. — Uczyniłem to dlatego, iż nie mogłem nie przypuszczać, że najprawdopodobniejszą treścią tej (t. j. tokijskiej) rozmowy będzie udzielenie informacji o charakterze wojskowym państwu japońskiemu, i w tak drastycznej sprawie nie chciałem nikomu dać pełnomocnictwa.... Zdecydowałem od razu, że zgodzić się mogę na zorganizowanie pracy informacyjnej tylko w tym wypadku, jeśli Japonja zgodzi się na udzielenie mi pomocy technicznej w broni i nabojach, gdyż nie przypuszczałem, aby wypadek tak wielki, jak wojna, toczona przez Rosję, mógł przejść bez śladu dla państwa rosyjskiego i nie doprowadzał nas, Polaków, do sytuacji, gdzie za pomocą siły dałaby się osiągnąć znaczna poprawa w losach Polski.”

W pierwszej połowie maja 1904 r. był już Piłsudski w Londynie. Pobyt jego tutaj tym razem trwał kilka dni. Po wizycie u ambasadora japońskiego, markiza Hayashi'ego, za-

opatrzony w listy polecające do Tokio, opuścił Londyn w towarzystwie T. Filipowicza. Jechano na Liverpool, Nowy Jork, Chicago i San Francisco. Na parę dni zatrzymał się jedynie w Nowym Jorku — przebywający tu od lat kilku stary, zasłużony działacz partyjny, Aleksander Dębski, jeden z nielicznych wtajemniczonych, wiedział o celu podróży; miał on być „punktem pośrednim”, przez który utrzymywać postanowiono łączność z Polską w czasie pobytu w Japonji.

Olbrzymią tę podróż — przeplanywaną przecież dwa oceany i przejeżdżano w poprzek kontynent amerykański — odbyto bez nadzwyczajnych przygód. Jedynie po opuszczeniu Liverpoolu i po wyjeździe z San Francisco spędzono parę dni na morzu nader burzliwym. Szczegół przytem ciekawy — publiczność, dotknięta chorobą morską, nie opuszczała swych kabin; sala jadalna w ciągu tych paru dni świeciła pustką beznadziejną. Piłsudski jednak i Filipowicz byli w tej sali stałymi gośćmi i nie narzekali na warunki podróży. I Piłsudski w wesołej rozmowie z towarzyszami podróży nieraz starał się wynaleźć i ustalić przyczyny, dla których tak daleko od morza zamieszkałi Polacy oskazyują na morzu odporności więcej, aniżeli inne „morskie” lub bardziej morskie narody...

10 lipca 1904 roku o godzinie 10 wieczorem przybyli do Jokohamy.

Jeszcze z ust moich słowo nie pada,
a już je niesie kolegi głos,
już zrumieniło lica sąsiada,
nim na twarz moją spadło jak cios.
Wreszcie poczułem — czy z tego dumny,
zarozumiał z tego być mam? —
(wybaczcie, mili, termin zbyt szumny)
cholerną duszę już w sobie mam.

Nocami szydą bulgotem rzeki,
księżyc równiny zmienia w móżgłódz,
góry wędrowcom zawsze dalekie
z gwiezdą wiecznością mówiące snąc,
ciemność dysząca szybko z pod chmury
w polanach puszczy i w głębi kniej,
gdy wiatr przedziera się przez pagóry —
— to wszystko uczy więcej lub mniej.

Dziesięć ataków na gród bezładny,
dziesięć odwrotów, łuna i dym,
w czas marszu kolumn wyżej wychudły,
goniący wzrokiem za panem swym,
rozmowa cicha o matki domu
nocą, z żołnierzem (kto on? cóż wiesz?) —
twarz tę widziałeś raz w błyskach gromu
i noc ją starła. To uczy też.

Dzień ma bieg zwykły. Rankiem promienie
pod daszkiem czapki, gdyś wziął na cel,
w skwarze południa wojsk ucieszenie,
potem, do nocy, luty ryk strzelb;
biedni zabici, co przed godziną
młodzi, a mają tak starczy wzrok,
nogi spętane nim chłód w nie spłynął,
każda z tych rzeczy — ku wiedzy krok.

A także czas ten, idący w lata,
tysiąc okolic przez którem szedł,
z ludźmi z dwóch półkul wielkiego świata
słowa o sławie trudów i bied;
choć nie mówiło serce, że bliscy
ci ludzie — wielkość ich w sercu mam,
teraz — sam zawsze — jak i my wszyscy,
braterski uścisk każdemu dam.

Samo to przyszło — czy z tego dumny,
zarozumiał z tego być mam?
(wybaczcie mili termin zbyt szumny)
cholerną duszę posiadałem sam.
Uwolnionego ostatni przemarsz
wiedzie już tylko do małych dni.
Boże, wiesz wszystko, na co słów niema —
Thamesfontein ukaż, o ukaż mi!

*O, gdyby Anglję stanowić miały
jedynie farba, mosiądz, kit, lak,
nie zaś mit twoich snów oniemiałych,
to bym ją rzucił. Lecz nie jest tak!*

Przełożył JÓZEF CZECHOWICZ

W DAŻENIU KU WIELKIEJ SZTUCE

(Rozmowa z prof. Ludomirem Ślodzińskim)



prof. Ludomir Ślodziński

Wilno w grudniu 1933.

Czy kryzys ekonomiczny, coraz dotkliwiej uderzający w podstawy bytu i produkcji (produkcji — a więc tem samem i twórczości plastycznej), jest sam przez się dostatecznym wytłumaczeniem niezwykle ciężkich warunków, w jakich się malarstwo dziś znajduje? Czy poza tą stroną nie istnieją strony inne, o charakterze poniekąd biologicznym, wyrażającym się w rodzeniu się, narastaniu, dojrzewaniu i... gaśnięciu potem wszystkiego, w czym istnieje rytm życia, czy to jest istota organiczna, czy idea społeczna, czy prąd artystyczny? Czyż nie żyjemy w okresie wielkiej przebudowy, na przelomie? I czy ujmując ten przelom w skali lat jednego życia ludzkiego, — nie jesteśmy świadkami zjawiska, że dopełnia się okres analizy, rozbijającej na atomy formy istniejące by poprzez zuchwale, czasem udane, czasem nieudane eksperymenty, uchwycić jakąś formę inną, wszystko jedno jaką, byle tylko nową i inną. Ileż to tych innych, nowych form już minęło i w oczach naszych, ludzi naszego pokolenia, postarzało się i stało się kształtem przeszłości. Każdy eksperyment dawał pewne nowe osiągnięcie, lecz zanim zdążył lożyć, już był spychany w przeszłość przez jakiś jeszcze nowszy, inny. Czy nie nadchodzi czas, by podsumować te wszystkie oderwane od wielkiej linii ciągłości, osiągnięcia i spróbować pracy nad jakąś większą syntezą? Bo czyż bez syntezy i szarmonizowania całości może powstać coś, co będzie mogło pozostać po całym pokoleniu jako jego wyraz, jako styl jego epoki.

Cóż ten styl weźmie w siebie z dorobku ostatnich dwóch-trzech dziesięcioleci, a na jakich wartościach tradycji się oprze? Ile w nim będzie modernizmu, t. zn. dnia dzisiejszego, a ile klasycyzmu, to jest głębszego związku i oparcia o cały dorobek przeszłości?



L. Ślodziński: Projekt pomnika Marszałka J. Piłsudskiego wykonany dla Druskiennik lub Wilna

Zagadnienia te powracają dziś coraz częściej i coraz natarczywiej we wszystkich rozważaniach i dyskusjach na temat Sztuki Dzisiejszej. Nie przesądzać tych zagadnień, albowiem i tak nie dadzą się one przesądzić jakąś jedną krótką odpowiedzią, ponieważ są zagadnieniami żywymi i podlegają prawom rozwojowym każdego życia, zmierzamy ku rozwinięciu głębszej dyskusji na ich temat. Specjalnie żywe zainteresowanie wywołują te zagadnienia w Wilnie, w tym mieście najpiękniejszych klasycystycznych kolumn, uchodzącem dziś za stolicę kierunku klasycystycznego w sztuce, będącem siedzibą całej odrębnej Szkoły w plastyce.

Za przedstawicieli tej szkoły uważani są artyści zrzeszeni w istniejącem już od lat 13 Wileńskim Towarzystwie Artystów Plastyków. Wodzem ich jest Ludomir Ślodziński, prezes Towarzystwa, profesor, a obecnie i dziekan, Wydziału Sztuk Pięknych Uniwersytetu Stefana Batorego, artysta o szerokiej, ugruntowanej już mocno, sławie, i o imieniu znanem nie tylko w Polsce lecz i zagranicą. Przywiązując wielką wagę do jego opinii w tych sprawach, zwróciliśmy się do Niego z prośbą o ogólną ocenę obecnego momentu w Sztuce.

— Wywiad dla „Pionu”? To ciekawy zbieg okoliczności. W ciągu ostatnich lat paru nosimy się z myślą wydawania pisma, organu Wil. Tow. Art. Plastyków. Wśród nazw, które się nam nasuwały, jako jedna z najbardziej prawdopodobnych była „Pion”. A teraz pan do mnie, w imieniu „Pionu”, po rodzaj jakby expose artystycznego.

— Tak...
— Do wniosku o konieczności syntezy w sztuce doszliśmy dawno. Sformułowanie tego umieściliśmy pod tymże właśnie tytułem, w drugim zeszycie „Południa”, już jedenaście lat temu. Dzisiaj widzimy zarówno na Zachodzie jak i nawet na Wschodzie — w Rosji sowieckiej, wszędzie dojrzałe zrozumienie potrzeby tej syntezy. Wszędzie t. zw. lewe kierunki upadają i twórczość artystyczna idzie po zdrowej linii rozwojowej.

Aby dokładniej określić obecną sytuację w sztuce, trzeba sięgnąć aż do impresjonizmu. Czem był ten kierunek? Rewolucją w swoim rodzaju. Kategorie zerwania z poprzedzającą go metodą, wyłomem i przerwą w dotychczasowej ewolucji.

Zaczął się od usunięcia szkoły. Impresjonizm usuwa ją na drugi plan. Przed nią stawia indywidualność. Uważał, że szkoła indywidualność zabija. Błąd tego mniemania dzisiaj jest oczywisty. Wiadomo, że wielka indywidualność nie da się zabić niczem. Bez szkoły jednak, zostanie tylko przygodą. Bez szkoły każde nieuctwo może być składane na karb „indywidualności”. Szkoła daje jedyny istotny sprawdzian wartości zarówno dzieła, jak i jego twórcy. Szkoła, to bagaż kulturalny przeszłości. Szkoła to doskonałe opanowanie rzemiosła, to wiedza teoretyczna, to wyłączenie dyletantyzmu, półinteligencji w sztuce.

BŁĘDY IMPRESJONIZMU

Impresjonizm, lekceważąc rzemiosło, usuwając na plan drugi kwestję jakości i doboru materiału, spowodował szybkie niszczenie dzieł sztuki, które dziś nie da się naprawić (u nas Stanisławski, Pawliszak i inni). Zmniejszając pod względem technicznym skalę wypowiedzania się plastycznego, używając materiałów najmniej monumentalnych, doprowadził do jej zubożenia pod względem wyrazu i szlachetności wyglądu (w rzeźbie operowanie gliną, zarzucanie materiałów trwałych, jak kamień, drzewo; w malarstwie operowanie najłżejszymi materiałami). Zupełnie zapoznano walory estetyczne materiału. Twierdząc, że szlachetny materiał nie uszlachetni lichego dzieła, zapomniano o tem, że liche i niewłaściwy materiał obniża jednakże wartość dobrej pracy. Doskonale przykłady tego można znaleźć w muzyce przez porównanie wykonania tych samych



L. Ślodziński: Fragment kompozycji z plafonu w gabinecie Prez. R. M.

utworów na lichym — i dobrym instrumencie.

Jednocześnie położono ogromny nacisk na stronę teoretyczno-filozoficzną sztuki. Poddano wyczerpującej analizie przeszłość, stwarzając szereg trafnych ocen. Można dzisiaj powiedzieć, że aż — „prze-filozofowano” wtedy, sztukę. Wysokie wymagania wobec przeszłości, nie były stosowane wobec teraźniejszości. Jednym z przykładów tego jest np. secesja wiedeńska, która wywarła taki fatalny wpływ na naszą ogólną kulturę estetyczną, że swoją „stylizacją”, a bezstylowością, czy parodią stylu. Płynną linią, przedładowaniem, płaską ornamentyką, pomieszaniem najrozmaitszych pierwiastków, tandetem, nieprzemysłanem ujęciem.

Wzbogacono głównie walory kolorystyczne. Poszukiwaniami w tym kierunku, zajmowały się różne półimpresjonistyczne odłamy. Nie dawało to jednak pozytywnego wyjścia z labiryntu poszukiwań. Usunięcie tradycji dobrej szkoły pozbawiło możliwości budowania istotnych, narastających wartości i w rezultacie spowodowało dekadencję.

W epoce impresjonizmu zatracą się ten prawdziwy stosunek ucznia do mistrza, zatracą się tradycja wielkiego rzemiosła, uczeń nie jest wyposażony w dorobek artystyczny przeszłych pokoleń. Na tle krańcowego indywidualizmu (co było hasłem impresjonizmu) powstaje żądza „nowej” sztuki, chęć zupełnego zerwania z przeszłością. Zapomniano jednak, że niema sztuki „nowej” ani „starej”, że jest ona wieczna i ciągła, a może być tylko „inna”, odmienna.

REAKCJA PO IMPRESJONIZMIE

Zerwanie z tradycją pociągnęło za sobą konsekwencje: brak wyraźnych dróg w sztuce, zamalo jest bowiem tylko „chcieć” — trzeba umieć wyrazić, czego się chce. To też nie ratował sytuacji włoski futuryzm ze swem pragnieniem „nowej sztuki”, nie

znajdując dla niej wyrazu plastycznego. Głoszono (pismo „Noi”) hasła zerwania z tradycją, nie stwarzając wzamian jasnego programu, popartego dziełami, dającymi wyraz wysokiego poziomu tej „Nowej Sztuki”.

Powstające za futuryzmem najrozmaitsze inne „izmy” obfitowały tylko w teoretyczne dochodzenia, co przyprowadzało jednak w niektórych wypadkach do stawiania postulatów podstawowych w plastyce. Dzięki temu, mają one uzasadnienie swego istnienia, nawet jeśli chodzi o nazwy, gdy inne zabrnęły w swoich rozumowaniach w dziedzinie zupełnie plastyce niewłaściwie.

To teoretyzowanie wszakże, miało jedną zaletę: wyluskało bowiem, z chłozu dociekań o sztuce te zasady, które stanowią istotę szkoły, jej podwaliny. Nie były to rzeczy wprawdzie nowe, ale przez ich wyolbrzymienie, doprowadzenie do pewnego rodzaju doktryny, przywrócono im niejako prawo



L. Ślodziński: Portret ks. Marchewki. Rzym. Widok z okna Fornariny na Zatybrze



L. Ślodziński: Fragment kompozycji dekoracyjnej do Sali Sejmu (nagrada I-sza na konkursie zakwalifikowana do wykonania)

obywatelstwa w „Nowej Sztuce”. Odosobnione i rozwiązywane oddzielnie, zadania plastyczne, nieuszeregowane w ich prawidłowej kolejności — nie mogą dać pozytywnych rezultatów narastania walorów. Brane w należyтым porządku, stanowią element rozwojowy i istotę szkoły. W ten sposób rozumiane i uporządkowane dociekania teoretyczne czasów poimpresyjnych, poparte odpowiednim ich wyrazem plastycznym, spowodować muszą rewindykację utraconych poprzednio zdobyczy i zbudować na tej podstawie istotne nowe wartości w sztuce, nie zaś „nową sztukę”.

CHWILA OBECNA — ZAŁOŻENIA NA PRZYSZŁOŚĆ

Obecnie jest największy czas na to, aby wspomnianemu dorobkowi wszystkich tych, razem z impresjonizmem, jednostronnych kierunków, dać wyraźną konstrukcję. Stworzyć wielką szkołę, aby dzieła sztuki nie były tylko prymitywnymi notatkami, ale pełną wyrazu wizją artystyczną.

Układając założenia na przyszłość, można ustalić tylko szereg zasadniczych punktów. Rewindykacja więc, zagubionej, wielkiej wiedzy artystycznej. Opanowanie materiału i całej strony technicznej w sztuce. W przeciwieństwie do błagi różnych adeptów impresjonizmu i jego spadkobierców.

czynnik ogromnej pracy. Słowem — nawrót do Wielkiej Sztuki przez przestrzeganie jej praw wiecznych.

Poza niezbędnym, oczywiście, talentem, wymienione już czynniki — praca, erudycja, opanowanie zadań i szeroka skala rozporządzalności środków — wszystko to musi wreszcie doprowadzić do najwyższego celu — do stylu. Wyrazu swoistego dla danego artysty, odrębności danej epoki.

— Czy w dzisiejszym stanie sztuki, obecna epoka będzie umiała styl taki wytworzyć? Styl wielki?

— Epoka — tak! Ale to jest jeszcze kwestją przyszłości. Pokolenie dopiero może się zdobyć na odbudowanie tego, co było, również — przez pokolenie, zrzućniane. Sporadyczne zjawiska wielkich osiągnięć być mogą, ale ogólny poziom, to co jest podstawą, warunkiem stylu epoki, będzie podniesiony dopiero, gdy wszystko zostanie zrewindykowane i wprowadzone ogólnie w życie.

Dzisiaj zatem, artysta przede wszystkim musi za sobą mieć szkołę. Przychodzi do życia z całym, wspomnianym bagażem kulturalnym przeszłości. Z całym zasobem zdobytej przez ubiegłe epoki, wiedzy o sztuce. Wzorem są tu wielcy mistrzowie dawni, artyści o olbrzymich indywidualnościach, którzy nie wahali się opierać na osiągnięciach swoich poprzedników, dalecy przecież od eklektyzmu.

Oczywiście, jak to już trochę zaznaczyliśmy, programu dążenia do owej Wielkiej Sztuki, niepodobna drobiazgowo precyzować. Niepodobna zamknąć go w paru drobnych formułkach, jak to czyniono z różnymi, wymienionymi „izmami”. Podstawą jest dobrze rozumiana — tradycja, a dalej — ciągłe dążenie do doskonałości, zdobywanie coraz to nowych atutów. Logiczne, celowe doprowadzanie do rezultatów najpoważniejszych.

Dzisiaj już można, a nawet trzeba powiedzieć, że dążenia te istnieją w atmosferze obecnej chwili. Skala wymagań od twórczości artystycznej zwiększyła się ogromnie.

DYGRESJA — STOSUNEK DO NATURALIZMU

— Pewną ilustracją twierdzeń Pana Dziekana byłby dla mnie także Jego stosunek do naturalizmu...

— Rzecz oczywista, że ów naiwny, fotograficzny naturalizm, musi być odrzucony. Złudzenie nie powinno być celem. Może pozostać jako rzecz dodatkowa. Artysta musi wyzyskać wszystkie wartości plastyczne w naturze, lecz nie być jej niewolnikiem. Opanować ją dla zrealizowania swoich celów plastycznych, albo psychologicznych nawet. Tak jak autor dramatyczny, czy powieściopisarz, wyzyskuje życie mniej lub więcej fragmentarycznie dla komponowania swoich utworów. Zresztą nawet irrealne zjawiska w twórczości człowieka opierają się zawsze o świat widzialny i z niego czerpią dla siebie materiał. Jeden jest tylko warunek przekonywujący widza — zasada organiczności zjawisk.

KLASYCYZM

— Wspomniał pan na wstępie o neoklasycyzmie. Jest to, jak i klasycyzm wogóle, etykieta często do nas przyczepiana. Termin tak jednak szeroki, że prawie zawsze trzeba używać go z komentarzem. Tak więc i my, wielcy plastycy, godząc się pomieścić na stosowanie tej nazwy do naszej pracy, musimy opatrzyć ją wyjaśnieniem.

Pracę nad wzorami klasycznymi, kształcą się na nich bez względu na to, czy z renesansem, Rzymem, Helladą, czy nawet Egiptem, mamy do czynienia, uważam za niezmiernie pożyteczną, a nawet niezbędną. Daje to wielką ostrożność, poprawność, wciąga do dobrej sumiennej roboty, do ciągłej kontroli nad sobą. Ogromnie uczy. Stąd nazwa klasycyzm, stosowana dosyć obszernie, zyskuje coraz bardziej na szacunku i słuszenie. Zbudowanie klasycznego człowieka przez Greków, uważam za jedno z najwyższych osiągnięć w sztuce.

Nie uważam się jednak za tkwiącego w klasycyzmie. Przyznaję, że pewne jego echo odczuwa się w moich pracach. Jest ono wszakże, w każdej sztuce, opierającej się na

podstawach z dorobku przeszłości. Tak jak w muzyce romantycznej znajdziemy pochodnię od Bacha, Mozarta, czy Beethovena.

Tu przypomina mi się świetne porównanie prof. Zielińskiego, klasycyzmu z romantyzmem. Klasycyzm — mówi on — to horyzont, stały, niezmienny. Romantyzm — to burza przemijająca na jego tle. Po niej występuje horyzont jeszcze jaśniejszy i czystszy.

WYDZIAŁ SZTUK PIĘKNYCH U. S. B.

Pytanie pana co do systemu studiów na Wydziale Sztuk Pięknych naszego Uniwersytetu, jest logiczną konsekwencją naszej rozmowy. Wiąże się ono z kwestją realizacji przedstawionych poprzednio założeń.

W ciągu kilkoletniej, mojej pracy w tym wydziale, jako pierwsze zadanie, uznałem uporządkowanie rysunku w studiach naszej młodzieży. Traktujemy to rozwojowo, we dług kursów. Z poszczególnych zagadnień wysuwają się: kwestja konstrukcji, proporcji, formy, charakteru, tonu i inne objęte pojęciem rysunku. Obecnie — uważam, że jest to na poziomie wymagań akademickich.

W dziale malarstwa, obok zagadnień formalnych, za najważniejsze uznajemy kompozycję — rozwój jej od najprostszyc zadań, do zagadnień malarstwa monumentalnego. Strona techniczna jest traktowana wyczerpująco — dokładne zapoznanie uczniów z materiałem, z różnymi technikami malowania, praktyczne studia w tym zakresie.

Jeśli zaś chodzi o dalszy rozwój samodzielnej pracy twórczej młodzieży, to nie krępiemy ich upodobań i skłonności indywidualnych. Mogą je oni rozwijać w sobie w dowolnych kierunkach, byle każdy miał do tego odpowiednio przygotowanie i wiedzę do czego dąży. Staramy się dać mu na drogę jaknajwiększy, potrzebny do tego zasób wiedzy praktycznej i teoretycznej, aby każdy jego wyczyn artystyczny był rezultatem prawdziwej i świadomej indywidualności, nie zaś nieuctwa.

AKTUALNE PRACE

Niezmiernie bogaty materiał faktów, rozważań na temat obecnego stanu rzeczy w sztuce i jego podstaw w najbliższej przeszłości, da się, rzecz oczywista, jedynie zleka zaznaczyć w takiej rozmowie. Kończąc ją przeszliśmy do pracowni prof. Ślodzińskiego. Szereg prac w różnych stadiach wykonania. Nawprost — wielka, monumentalna kompozycja figuralna na jakiś temat klasyczny. Rozmiary 4 na 3 m. Jest w pełni jej opracowywania. Na lewo dzieło nieomal skończone, o sugestywnej wielce, ekspresji. Na tle perspektywicznej głębi wspaniałego widoku Wilna — portret zbiorowy. Ścisłej — to autoportret twórcy obrazu z małżonką i córeczką. Jest w tem coś z precyzji i kompozycji mistrzów renesansowych, bez jakiegokolwiek imitowania ich, mimo botticellowskiego jakby, rysunku główki i włosów dziewczynki.

Rozmowę przeprowadził S. Z. Klaczyński.



L. Ślodziński: Fragment kompozycji „Motyle” obecnie na Wystawie w Moskwie



L. Ślodziński: Portret na tle okna (plaskorzeźba polichromowana)



Dwie sceny z FRYDERYKA SZYLLERA

WALLENSTEIN

Przekład KAZIMIERY IŁAKOWICZÓWNY

P O E M A D R A M A T Y C Z N E

OBÓZ WALLENSTEINA*)

Wachmistrz

Drugi strzelec

Rzecz dzieje się pod miastem Pilzno w Czechach. Scena przedstawia namioty markietanek, bramy, budy jarmarczne. Mnóstwo żołnierzy wszelkich barw i znaków. Stoły są pozajmowane. Kroaci i ulani gotują coś na ognisku. Markietanka nalewa wina. Chłopaki rzucają kości na bęben. Z namiotu słychać śpiewy.

Niechajno każdy na rozum bierze, że jeśli mu palec kto utnie maleńki, ten oto tylko — to już jest bez ręki: kikut to odtąd, nie zdzierzyć mu broni. Nie inaczej te osiem tysięcy koni, które do Flandrii chce cesarz posyłać. To armji cząstka, nie w nich armji siła: o jedną piątą można być zawsze niepostrzeżenie troszeczkę słabszym — tak wam się zdaje, tak człek by sobie wmawiał. Tymczasem — zdechł pies! Bo wnet i chłop się postawi,

Aż za Wismar rodzice moi mają grunt.

Wachmistrz (wskazuje trębacza)

Zaś ów chwyt i ja myśmy z Eger miasta, a wszakże na oko — jednacyśmy i basta. Czy poznać po nas, że ze czterech świata stron zwoływał nas do kupy tej trąbki ton? Jeśli kto kiedy widział, niech gada zdrów, piękniejszy moderunek, przedniejszy huf, wojsko mocniej spojone w karność! Niechno jawi się wróg — my go zmielem jak żarna. Na jedno słowo, jak na pchnięcie dźwigu, każda część się o drugą zazębia jak tryby. Któż to przykrajał kółka, przypasował pasy? Kto nam obieżyświatom dał mores i fason, żeśmy Jedno — oficerzy, wachmistrze, gemajny? To robota wodza, to duch Wallensteina.

SCENA JEDENASTA

Wachmistrz

Mości panowie, chętnie się na to piszę, by każdy znał się przedewszystkiem na tem, co mu najbliższe. Lecz wódz ze swego szczytu niech ma przenikliwość i śmiałość, by — szczegółami nie gardząc — wiedzą ogarnąć całość.

i po biurach a kancelarych w Wiedniu zaczną znów płatać nam figle przednie; wraz posypie się przepis za przepisem jak ma żołnierz mieszkać i co kłaść do misy... I wnet z żołnierza masz, brachu, próchno. A już niedaleczko i wodza nam zdmuchną, niezbyt bo nań patrzę łaskawie u tronu. A wówczas dla wojska wszystko skończone: kto żołąd zaległy wytrzęsie z aktów, dopilnuje by ludziom dotrzymano kontraktów? Kto będzie miał dość rozumu i siły w pięści, by w jedno skuć armji rozliczne części? Komu starczy sprytu? Kto ma taką garść? ... Bo uważacie no... Panie dragon, skąd jesteście waść?

Pierwszy strzelec

Że też mi to nigdy dotąd nie podpadło, że nas kupa cała, a wszystko tak składne. Dobrześ to obmyślił, wachmistrzu. Co, bracia?

Pierwszy kirasjer

Co prawda — to prawda. Pan wachmistrz ma rację: wojsko hołocie tej w oku solą, bez nas by każdy z nich rządzić wołał. Spiskuje, zmagia się na nas czereda!

Pierwszy dragon

Jam z Hibernji.

Wachmistrz (do dwóch kirasjerów)

Walończyk z waści, to wiem, a waść — z mowy sądząc — z Gallijskich ziem?

Pierwszy kirasjer

Skądem jest i ktom jest nie mam, bratku, pojęcia: skradziono mnie, kiedy byłem niemowlęciem.

Wachmistrz

A tyś tam też nie zblizka?

Pierwszy arbaletnik*)

Jam z nad wód jeziora Feder. Z miasta Buchau jest mój ród.

Wachmistrz

A wy?

Drugi arbaletnik

Jam ze Szwitz.

Wachmistrz (do drugiego strzelca)

Wyście skąd?

Markietanka

O Jezu, a jam towar dawała na kredyt! Zapłaczą mi oficerzy, powiedzcie, kumie?

Wachmistrz

To grozi bankructwem, ma się rozumieć. Wszak wielu dowódców i generałów na własny koszt regimenta stawiało, niejeden się zarwał, żyje nad stan... Wszystko to runie, jeśli runie nasz pan. Myśleli wodzowie: poco żałować pieniędzy, to się wróci w trójnasób po wojnie zwycięskiej. Teraz może być kłapa.

Markietanka

O dobry Chryste, a ja wojsko całe mam tutaj w zapiskach! Graf Isolani sam jeden bez mała winien mi dawno już dwieście talarów.

Pierwszy kirasjer

Niema, koledzy, innej rady, jeno trwać murem naprzeciw zdrady. Nic nas nie zmoże — ni wróg, ni bieda — jeśli staniemy wszyscy jak jeden. Niech ślą rozkazy nam, niech ślą posłańców, zostaniem przy Księżciu jak załoga na szafcu, i z Czech nie wyjdziem, chyba że on sam zechce nas wieść.

Taka jest żołnierska wiara i cześć.

*) W oryginale Arquebusier.

Każdy wie, żeśmy książećcy żołnierze: i tyk po miastach, gdy nas ma na kwaterze, i chłop, gdy pod tabor dostarcza podwoły. ... A skarg nie wnoszą. Każdy wie — czasu szkoda! Niechno się jaki kapral zawieruszy w gminie zamiejskiej, czy najdalszej głuszy, niechno ma ludzi choćby ze siedmiu, już on się tam rozrośnie, rozedmie. Każdy go chce przejednać, czem może dogadza. A dlaczego? Bo każdy wie, że on jest władza. Nie cierpią nas oni wszyscy, do kata, i wolą mieć djabłów niż nas po chatach, dlaczegoż więc w garście plunawszy krzepko na zbity pysk nas nie wyciepną? Bo to nie żarty, bo zwąchał plebs, że za krzywą gębę kula w łeb, bośmy przy obuszkach, przy rusznicach, przy mieczach, i — niechno kto się ruszy — do nogi wysieczeniem! Sypiać spokojnie możemy po chałupach, bo nas jest wiele, bo nas jest kupa.

Pierwszy strzelec

Tak, i w tem jest sęk, w tem cała sztuka, i poto nas Wallenstein po świecie szukał, kiedy na prośbę wielkiego cesarza przed ośmiu laty swą armję stwarzał. Miała być zrazu dwunastotysięczna: „Nie“, rzekł nasz Książę, „to cyfra niezręczna, wyginą z głodu nim pochwyć za miecz. Sześćdziesiąt tysięcy — to inna rzecz!“ ... I otośmy Wallensteina żołnierze.

Do obozu Wallensteina przybył cesarski posel z tem, aby wojsko zręcznie rozdzielić, a wodza unieszkodliwić. Wojsko dowiedziało się o tem i rajcuje. Część jest za bezwzględna wiernością dla cesarza, część za równie bezwzględną wiernością dla księcia.

Drugi strzelec

Rozkazy i marszruty hycle fabrykują.
Chcą nami dowodzić? Ano, niech spróbują!

Pierwszy arbaletnik

Ależ, panowie, trza pomyśleć dwa razy
nim pójdziemy przeciw cesarskim rozkazom.

Trębacz

Furda! Co mi cesarz!

Pierwszy arbaletnik

Stul no pysk, bo ja ci go stulę!

Trębacz

W pięcie mam waści i wszystkich cesarzy i króli.

Pierwszy strzelec

Przecie to stare i wszystkim znane,
że wojsko ma tylko Wallensteina za pana.

Wachmistrz

Tak jest, i taką miał z cesarzem umowę,
że on tylko jeden jest wojska głową.
Jego to rzecz, jego prawo szczere,
wojnę wydawać i pokój zawierać;
rekwirunek i pobór, i straż i sąd
do niego należą jak rozległy — front.
Wolno mu oficerów i pułkowników
kreować tyłu, ile armji potrzeba do szyku.
A dlaczego ma taką władzę, panowie?
Bo tak stoi w kontrakcie, bo się tak z cesarzem
umówił.

Pierwszy arbaletnik

Książę to możny pan, i nie znajdzie się taki długo,
a wszakże — podobnie jak my — jest tylko
cesarskim sługą.

Wachmistrz

Nie takim jak my, w tem jednym waść prawdę
skreślił.
Wszak to udzielny pan, bo jest Rzeszy wolnym
księciem,
podobnie jak Bawarczyk. Widziałem, jak w obliczu
cesarza
wolno mu było jednemu głowy swej nie obnażać.
To było w Brandeis, miałem tam wówczas straż.
Sam widziałem... Podobny nam! Dobrze waść na
rzeczy się znasz.

Pierwszy arbaletnik

To było za Meklenburgję i basta,
co mu ją Najjaśniejszy Pan dał w zastaw.

Pierwszy strzelec (do wachmistrza)

Jakto! W cesarza obecności? Co słyszę!
Niemalą rzecz powiadacie, panie wachmistrzu.

Wachmistrz (sięga do kieszeni)

Jeżeli nie mam wiary u waści,
patrz — co to jest, co tu trzymam w garści?
Czyja to twarz?

Markietanka

Po co pytać! Toć każdy z pojęciem
pozna wraz oblicze naszego Księcia.

Wachmistrz

No właśnie. Cóż wam jeszcze dołożyć?!
Nie równyż on pomazańcom innym Bożym?
Jak oni ma własny kraj, własny kram
i równie jest panujący jak cesarz sam.
Bije własną monetę tak jak i Ferdynand,
stąd wnioszek, że ma prawo i wojsko trzymać.

Pierwszy arbaletnik

Nie negując ja tego, a wszakże sądzę,
że nasz pierwszy dla cesarza jest obowiązek,
bo on płaci nam zółd.

Trębacz

Waćpan chyba urąga!
Wszak od cesarza nie widzieliśmy dotąd szeląga.
Toć od czterdziestu tygodni prawie
cesarscy obiecanką-cacanką nas bawią.

Pierwszy arbaletnik

Cóż stąd. Najjaśniejszego Pana słowo — rzecz
święta!

Pierwszy kirasjer

Pax. Bo do bitki blisko, gdy brak argumentów!
Nie o to wcale idzie rzecz sama,
byśmy mieli bunt niecić, lub wiarę łamać.
Właśnie dlatego, żeśmy cesarzowi
wierność winni i służyć gotowi,
radziśmy armją jego być, a nie trzodą,
którą klechy zarządzają, a fagasy powiodą.
Dla Najjaśniejszego Pana najlepiej pono,
jeśli ma wojsko, które dba o swój honor.
Któż to jeśli nie wojsko, nie żołnierz, u kata,
robi z cesarza błazna, lub potentata?
Kto jeśli nie on strzeże granic, utwierdza państwo
i broni Chrystusa i Chrześcijaństwa.
Ci co z Majestatem uczują w komnatach ze złota
i łaskę jego zlizują jak mleko koty,
niechże chodzą w jego jarzmie jak w zaprzęgu.
Żołnierza — Majestatu blask nie dosięga,
my mamy tylko ból i krew i blizny i pręgi...
...No i dobre własne o sobie mniemanie.

Drugi strzelec

Wszyscy wielcy króle, a także tyrani,
mieli ten zwyczaj wcale nie głupi:
każdy z nich wszystko zdeptał, i zhańbił i złupił,
wszystkich pognebił, pokopał, ponękał...
...Ale wojsko — to oni nosili na rękach.

Pierwszy kirasjer

Żołnierz musi coś nie coś o sobie trzymać.
Kto tej buty, tej fantazji nie ma,
kto myśli nie z rycerska, kto szelma, kto sknera,
niech pakuje manatki, z wojska precz się zabiera.
Jeśli mam grać o życie, jak o stawkę w kartach,
to u diabła muszę ja być coś wart!
...Inaczej — toż to jatki, choćbym bił się
najmężniej,
i godzienem pogardy — ot, jak Kroat zaciężny.

Obaj strzelcy

Honor — droższy nad życie! To prosta rzecz!

Pierwszy kirasjer

Głupiec tylko nie pojmie, że miecz to miecz,
że nie skopie nim grzędę, roli nie zorze...
Nie nam wschodzi ruń, nie nam kłosi się zboże...
Bez ojcowizny, żołnierz chwyt
tam nocuje, gdzie stanął, tam gnije, gdzie padł.
Ani dla niego żarzy się w izbach płomień,
bo on osiedla mija, po przez miasta goni;
nie dla niego zabawa żniw i winobrań,
spogląda na nie tęskniąc z dróg, które sobie obrał.
A skoro tak jest, to cóż w nim uczciwego zostanie,
jeśli siebie samego mieć będzie za nic?
Coś musi mieć na własność, czemś musi się móżdż
pochwalić,
bo inaczej zaczniesz naosleń mordować i palić!

Pierwszy arbaletnik

Bóg widzi, że mizerny nasz los i skąpy...

Pierwszy kirasjer

A jednak nikomu bym go nie odstąpił.
Świat cały objechałem konno i zbrojnie,
i wielem tam widział, czego człek nie pojmie.
W Hiszpańskiej monarchji w służbie był,
dla Wenecji krwim sobie upuścił z żył,
i czy tu, czy tam, czy w ziemi Napolitańskiej —
wszędzie miałem choróbska i głód i krzyż Pański.
Widziałem kupców możnych i paniątka gładkie,
rzemieślnicze opończe i kapłańskie szatki,
lecz ze wszystkich jeden tylko strój dla mnie górą,
— ten oto mój własny z żelaziwa i skóry!

Pierwszy arbaletnik

O sobie tego powiedzieć nie zdołę.

Pierwszy kirasjer

Niech no goni za zyskiem, kto do zysku ma wolę,
niech się męczy i nęka i zgina w pól,
niech orze jak wół i dźwiga jak muł,
niech pnie się do zaszczytów, zakłada ród,
niech rośnie pod niebo przez pokorę i trud,
niech taki ma poty i cnoty i złoto
— to nie mój rodzaj, ja nie stoję o to!
Wolnym chcę żyć i wolnym umrzeć,
po nikim nie dziedziczyć, i nic nie zabrać do trumny,
prócz pamięci, jak to na świat i jego krzątanie
zawiła
patrzyliśmy z góry — ja i moja kobyła!

Pierwszy strzelec

Dobrześ powiedział, aż mi serce zabiło.

Pierwszy arbaletnik

Mój świat jest skrojony na inną modłę
niż ten, który widać z końskiego siodła.

Pierwszy kirasjer

Być może. Lecz czasy teraz tak ciężkie,
że na psy zszedł stan kmiecy i ludność swojska;
i dlatego to racz mi Waćpan wybaczyć
że do szabli się garnę i szabli patrzę.
Gdym w wojsku i zbrojny, niechno mię kto zaczepli,
a wymknę się snadniej, lub obronię się lepiej.

Pierwszy arbaletnik

A czyjaż to wina, jeśli nie wojska,
że na psy zszedł stan kmiecy i ludność swojska.
Nieszczęsna ta wojna i nędza i głód
od szesnastu lat trapią mieszczan i lud.

Pierwszy kirasjer

Bracie, sam Bóg Ojciec ze swoją władzą
nie potrafi wszystkim na raz podogadzać:
jeden chce słońca, ów bez cienia omdlewa,
ten błaga o suszę, tamten pragnie ulewy.
Tam, gdzie ty widzisz nędzę tylko, plagi i ciężkie
winy,
dla mnie raj, dla mnie maj, dla mnie szczęście
jedyne!

Żal mi kmieci i mieszczan szczerze,
jeśli krzywdę im czynią książęcy żołnierze,
lecz jaka na to rada i kogo mam skarżyć?
Ot, dzieje im się tak, jak to zwykle w czas szarzy.
skoro raz konie ruszą i zaczną się bieg,
biada temu, kto trafem na drodze legł,
stratuję go w pędzie rad czy nie rad,
choćby to był syn jedynak, ojciec, lub brat,
i nie strzymam konia i nie schylę się z łęku
choćby mi serce od żalu pękło.

Pierwszy strzelec

Tak jest, tak... Nie dosłyszysz się jęku.

Pierwszy kirasjer

A skoro się mówi, że żołnierz ma szczęście,
to trzymajmyż to szczęście w obu pięściach.
Kiep — kto okazję pomyślną rzuca.
Używajmy póki czas — bo nas jutro ukróca!
Przez jedną noc, wstanie nam pokój nagle
i spadną w cenie samopały i szable,
gdzie żołnierz zsiędzie z konia, chłop szkapę do
pługa wprzęgnie.
i będzie — jak Wać lubisz — spokojnie i pięknie.
Teraześmy jeszcze razem i konno i zbrojnie,
jeśli damy się rozbroić, rozjedziem się spokojnie,
to już się znajdą tacy, zaręczam waćpanom,
co wyłowią nas, zdławią i przycisną kolanem.

Pierwszy strzelec

Gdy kupą staniem, ulękną się ścierwa:
nie damy się rozdzielić. Niech wysiecką nas pierwej!

Drugi strzelec

Zgoda. Teraz ułożmy ściśle — co i jak, do pioruna!

Pierwszy arbaletnik (wyciąga skórzaną
sakiewkę, do markietanki)

Skończyłem... Pani kumo, upraszam o rachunek.

Markietanka

Drobnostka!
(obliczają)

Trębacz

Waści, widzę, niemiła rozmowa?
Ha, trudno! Wolna droga. I tak nic tu po was.

(Arbaletnicy wychodzą)

Pierwszy kirasjer

Zuchy to, a w swej broni — mistrze niedościgli.

Pierwszy strzelec

Dobry chłop, ale sercem nie żołnierz, lecz mydlarz!



DRAMAT PICCOLOMINICH*)

(Sztuka w 5-ciu odsłonach)

ODSLONA PIERWSZA

Scena czwarta

Maks Piccolomini, Oktawjo Piccolomini, Kwestenberg.

Maks (wchodząc)

Ojczy, witaj!

(ściska go)

Co widzę! Najmocniej przepraszam. Przeszkodziłem zapewne.

Oktawjo

Z przyjacielem naszym tak dawnym, z posłem wielkiego cesarza, witać się nie zamierzasz?

Maks (sucho)

Nie chciałem obrażać. Witajcie, panie. Jestem waszmości do usług.

Kwestenberg (bierze jego rękę)

Nie cofaj ręki swej, hrabio, przed posłem! Pragnę te obie dłonie ująć i zatrzymać

(bierze ręce obydwu Piccolominich)

w mych rękach... nie dla siebie tylko... I nic

niema nikczemnego w poselstwie mem, żadnej pułapki. Maks i Oktawjan — o, nie dla zabawki dane imiona te. Przynoszą dobrą wróżbę one mej Austrii, dokąd zechcą świecić dla niej, Oktawjo i ty, Maksymiljanie, dokąd zechcecie naszej armji świecić.

Maks

Złe swe poselstwo, panie, sprawujecie. Nie tąś waść rolę z troków swoich wyjął: wszak nie pochwały zwiastował wasz przyjazd. Nie pragnę pochwał — gdzie innych masz ganić.

Oktawjo (do Maksa)

Dwór go przysłał. Tam inne o Księciu mniemanie mają niż u nas. Coś się popsowało.

Maks

A któż tam znowu szuka dziury w całym! Skąd? Za co? Czy dlatego szarpia go i winia, że postanawia sam o rzeczach, na których jedynie on sam się zna? Stąd w Wiedniu konsternacja? A przecie dobrze czyni i dwór wie, że ma rację! Nie jest on z takiej ulepiony gliny, by mógł bić czołem. Dąb to, a nie trzcina. Książę ma duszę władcą. Tam gdzie on zasiada wyrasta tron. Tak dobrze jest i tak wypada. Wypada tak dla władcy, a znów dobrze dla nas,

bo mało bywa takich, którym rozum dany; a jeszcze takich mniej, którzy rozumu potrafią mądrze użyć. Dobrze jest dla tłumu, jeśli się znajdzie jeden wyższy o głowę, o piętro, i dla innych ostoję tworzy, jakby centrum, gdzieby się można skupiać. On góruje dumny, a reszta się o niego wspiera, niby o kolumnę, z ufnością, z wiarą... Wszakże, mości Ministrze, nie tajne panu, że wojsko takim władcą widzi Wallensteina? Dworowi, tuszę, zdałby się wódz inny?

Kwestenberg

Wojsko — to co innego. Wojsku taki zda się.

Maks

Jakież wpływ jego wokół dobroczynny, jak budzi i ożywia wszystko w każdym czasie! Jak pod jego dotknięciem każdy dar szczęśliwy, z siłą każdą, niby wąż z ziarna kielek, urasta w moc, i soków bujniejszych dobywa... Skąd? Jak?... Bo z wodza siły nadmiar wzięły. On nas bierze takimi, jakimi jesteśmy, i w nas swej woli wielość ucieleśnia: ani nas łamie, ani w nas co burzy, lecz tylko o to dba, by każdy służył tam, gdzie nadaje się, i tem, co potrafi najlepiej. Tak z nas tysiąca jedną wielkość — własną! — lepi.

*) Oktawjo Piccolomini, prawa ręka Wallensteina, dał się przekonać posłowi Cesarza Austrii Ferdynanda, Kwestenbergowi, o szkodliwości Wallensteina dla Państwa i pokoju. Obaj chcą przeciągnąć Maksa Piccolomini na swoją stronę. Ów nie wie nic o zdradzie ojca. Właśnie wrócił z podróży, która miała na celu konwojowanie córki Wallensteina z posiadłości wiejskich do obozu.

Kwestenberg

Jać nie neguję, że Książę używać ludzi umie jak nikt, że zna ich. Nieszczęśliwy tylko traf, że gdy władcą jest nieporównanym, to za to sługą złym... I dlatego tutaj przysłany.

A wszak nie urodził się władcą!

Maks

Na Boga, nie! Lecz nim stał się... Z obfitości rogu natura darów mu sypnęła szcudrze. W nim Dzeus potężny, w nim i Ares odżył. Jest w jego mocy być tem, czem zamierzył zostać. To wzniosłe jest.

Kwestenberg

Tak. Ale cesarz zależy w takim razie od Księcia Friedlandu zachcianek. To tylko mieć będziemy, co nam będzie dane z łaski, czy tak?

Maks

Zawierzcie mu. Mąż rzadki wymaga wiary rzadkiej. Cel ostatni on wytknie. Dajcie mu tylko przestrzeni, swobody więcej.

Kwestenberg

Myśmy nauczeni niejedną próbą.

Maks

Tak, tak... Znam to wszystko: gnębi was strach. Lubicie kiedy jest płytko!

Oktawjo (do Kwestenberga)

Nic nie przekona go. Daj pokój, druhu stary, i nie bierz za złe...

Maks

To jest nie do wiary! Wszak zakłębami samiście wezwali z otchłani — Ducha. A gdy się rozpalili i jest, obleciał tchórz was, i zgroza was chwytła bo chcieliście, aby ten wezwany Wielki Duch, był pospolity.

Niezwykle ma być zwykłym, a najwyższe mieć twarz dnia powszedniego!... Inne prawa pisze wojna. W obozie wszystko nagłe jest. Osoba to pierwsza rzecz; sąd własny, własne oczy oba, jasnowidzenie żywe, jakoby prorocze czucie. Nie martwych ksiąg, ani praw, które robak

wódcz ma się pytać, lecz swej woli własnej. Rozwiążcie ręce mu! Tam gdzie jest ciasno — musi się rwać!



Apoteoza Fr. Schillera — rysunek E. Holtza z pierwszego polskiego przekładu „Wallensteina” z r. 1832

Oktawjo

Mój synu, nie chciej lekceważyć tych starych, ciasnych praw, które na straży stoją żądź ludzkich. Bowiem to im dane, że dzięki nim dopiero człowiek stał się własnym panem,

wolnym od samowoli. I chociaż się nagiąć wypada do porządku praw, to ich powaga opłaci przymus ten. Prosta ich droga, jak prosta jest piorunu nieuchronna linja, lub bieg armatniej kuli. Jakież próby mogą odchylić pęd ich, przeznaczonych przeszkodzić ruinie, i zmienić los! Mój synu, ścieżka zakreślona przez Niebo wiedzie z biegiem rzek, wzdłuż dolin omija łany zbóż, pszeniczne pola, szanuje zarys posiadłości, własność i dobytek wielu, i w ten sposób najpewniej prowadzi do celu.

Kwestenberg

Posłuchaj ojca, bowiem jego rzecz zawiera mądrość człowieka, a zarazem bohatera.

Oktawjo

Miły mój, mówi przez cię dzieciństwo zrodzone w obozie, piętnastoletnia wojna cię piastowała w swej grozie, nigdyś, synu, nie zaznał, nie oglądał — pokoju. Wierzej, są większe wartości, niż te, które zdobywa się w boju!

Wszak nawet wojna celem sobie sama nie jest. Wielkie, porywcze, nagłe wojny dzieje, zdobywcze czyny, których siła dokonywała, to nie one przynoszą trwałą państw szczęśliwość, uspokojenie i potęgę. Żołnierz kleci pośpiesznie lekką z płócien cytadelę, i wnet się lęgnie ruch i barwne kwiecie towarów płynnie szybko ulicami miasta; ze wszystkich stron gromadzą się dostawcy, handel rozwija się, rzemiosło strzela w górę... Gdy nagle gród z namiotów pozwijają ciury i nie zostanie z niego nic, nic jako żywo. Dalej pociągnie rój, porzucając szlaki zamarłe, zdeptane, puste, jakby je sarańcza wyżarła. I nie zbierze plonu nikt... I nie będzie żadnego zniwa.

Maks

Niechże więc cesarz, ojczy, zawrze pokój! Z ulgą laur zdejmę krwawy i od boku odpaszę oręż. Dam je za bukietek fjołków marcowych.

Oktawjo

Co ci? Co cię tak rozrzewniło?

Maks

Mówisz, zem pokoju nie zaznał! A ja zostawiłem go właśnie tuż za sobą. Dzisiaj stamtąd wracam, z krajów, których bój dnem do góry nigdy nie wywraçał...

Co to za życie!... Co za urok, ojczy... Na pobyt naszych korsarskich okrętów myśmy obrali tylko lądów tych wody zabójcze. Stłoczonym na pokładach, miotanym przez wichry, dzikim i zbrojnym, wolno zrzadka nam, kiedy

nacicha odpływ, oglądać ład szczęśliwy z jego zatok płytkich.

Lecz lądując złodziejsko, a czujnie i szybko, krążym tylko ukradkiem po piaskach, po brzegu... I raj, który wewnątrz tych lądów zalega, korsarz nie widzi.

Oktawjo (przenikliwie)

Jadąc tutaj, z jakiej racji dostrzegłeś nagle raj ów?

Maks

Bo wakacje to były moje pierwsze. Od kolebki, od dziecka cóżem znał? Trud, który młodość mą spalił, trud bez celu, bez żadnej nagrody... Umysł zjałowiał, serce zamarło, zakrzepło... Bo i cóż daje obóz! Gwar, jazgot i grzechot, rzenie rumaków, trąb miedziane echo, miarowe koło służby, musztry, warty, słowa komendy, warcaby i karty... Co daje obóz sercu, gdy się go nie wplecie w nicość tych zajęć!... Tymczasem we świetle są radości, jest szczęścia tyle...

Oktawjo

Lecz zachodzę w głowę, synu mój, skąd się o tem dowiedziałeś właśnie w drodze?

M a k s

O dniu szczęśliwym, w którym żołnierz wreszcie wróci do człowieczeństwa i w niem znów się zmieści!

O dniu, w którym chorągwie bitne i najstarsze rozpoczną ku domowi iść powrotnym marszem, i wojsko wszystkich broni, wszystkich krajów kapelusze i hełmy zielenią umai. Miasta się im otworzą bez oporu harde, ani trzeba pod bramy podkładać petardę; na murach ludzi pełno; radośni, bezzbrojni, witają nas, wiewają... Dzwony dzwonią na nieszpór, czy na koniec krwi przelania? Ze wsi, osiedli wszystkich, tłum na powitanie bieży, z miłym natręctwem wśród wojska się płacząc. Starzec z powracającym synem dłonie łączy, a ten do posiadłości, którą rzucił będąc chłopcem, wraca, zdumiony, że dlań wszystko obce. Oto go drzewo dorodne ocienia,

które ledwie na różgę zdało się, gdy z sieni przed odjazdem patrzył nań. I oto mu naprzeciw wychodzi krasną dziewą w pełnym wiosny kwiecie ta, którą noworodkiem znał... W godzinie owej, w tym dniu, jakże szczęśliwy ten, kogo okowy pachnących ramion otoczą i zbawią...

K w e s t e n b e r g (wzruszony)

Bodajęś tak o dzisiaj, nie o jutrze prawil! Mówisz o jasnym słońcu daleko przede dniem

M a k s (gwałtownie do niego się zwracając)

Któż winien temu, jeśli nie wy w Wiedniu! Gdy waści widzę tu, dostojny panie, bierze mnie szczerą złość... Wasze to u dworu knowania wojnę przedłużą. Nie wy walczycie o pokój, lecz żołnierz z przekleństwem w zębach, a bronią uczciwą u boku.

Trujecie Księciu życie plotką i potwarzą, i czemu? Bo ludzkość całą więcej sobie waży niż austriackiej ziemi parę marnych piędzi? Buntownika robicie zeń, bo Sasów nie wypędził, lecz traktuje, chcąc ufność zdobyć u nieprzyjaciela! by zawrzeć pokój z nim?... Wszak wojna ma pokój na celu, nie samą siebie; jeśli nigdy nie wstrzymać jej gestów to jak sprowadzić pokój, jak wojny zaprzestać? A wy... Lecz mam was dosyć! Zaprawdę, jak szczerze umiłowalem to co wzniosłe, tak mam w nienawiści wam podobnych. A jemu niezachwianie wierzę tak mi dopomóż Bóg. I cokolwiek, jakkolwiek się ziści dalej, czy u szczytu łask czy — przez was — w upadku, za Wallensteina krew mą przeleję ostatnią!

(wychodzi)

OLGIERD GÓRKA

„OGNIEM I MIECZEM” A RZECZYWISTOŚĆ HISTORYCZNA

IV. K O N K L U Z J E

Po nakreśleniu kilku rzutami faktu „odwrócenia” obrazu historycznego w „Ogniem i Mieczem”, a to przez wykazanie rzeczywistości historycznej tych czasów oraz ludzi, wolno mi już wrócić do punktu wyjściowego mych wywodów, a więc do roli i udziału, zarówno twórczości Sienkiewicza wogóle, jak „Ogniem i Mieczem” w szczególności, w zagadnieniu, nazwanem przeze mnie — chyba bezspornie — „najwyższej wagi”, „jakimi walorami literackimi formować obecną i przyszłą duszę narodu polskiego” (art. I „Pion” Nr. 3).

Tem samem wolno mi przejść na temat zagadnienia, które — jak sądzę — pierwszy wogóle niedawno postawiłem w innym miejscu („Dziejowa Rzeczywist. a racja stanu Polski na pol. Wsch.” — „Polityka Narodów”, 1933, z. I—II, str. 5), stwierdzając, że Sienkiewicz „sam jeden na obecne polskie odczuwanie swej przeszłości wywarł silniejszy wpływ, niż setki tomów rozpraw naukowych”. Jeśli w obecnej polemice o „Ogniem i Mieczem” padło wśród wielu kontrargumentów twierdzenie: „nie słyszałem dotąd, aby ktokolwiek o wojnach tureckich albo kozackich uczył się z Trylogii Sienkiewicza” (St. Szpotański „Kurier Warsz.” 1933 Nr. 339), to mam tylko jedną odpowiedź: — poprostu cała Polska od lat pięćdziesięciu! Przecież jeśli zadamy nawet obecnie w wykształconych kolach polskich kilka pytań z tych czasów, decydujących w naszych dziejach, przekonamy się, że wszyscy wiedzą o bitwie pod Machnowką, której właściwie nie było, a mało tylko kto o tej strasznej bitwie pod Mątwanami, pięciokrotnie krwawszej od Beresteczka (3.873 trupów polskich wobec 700 pod Beresteczkiem), w której pozatem zasadniczo zostały przegrane losy Polski, bo Maciejowice były już tylko wykonaniem. Stawiając we wspomnianej rozprawce o „Dziejowej rzeczywistości” postulat rewizji polskich dziejów politycznych i wojskowych, zarówno w swem zasadniczym ujęciu i zakresie źródeł, jak w odniesieniu do ustalonej struktury faktów, czyli „in capite et membris”, oraz rozpoczynając zarys tej rewizji na pewnym odcinku dla lat 1359 do 1450 („Zagad. Czarnomor. w pol. polsk. średn.” w „Przegl. Hist.”, 1933, t. X, str. 325—391), — zdawałem sobie sprawę, że jest to praca wielu lat i książek — oczywiście nietylko moich.

Zagadnienie sienkiewiczowskie nie może jednak czekać. Nie jest to bowiem tylko sprawa innego ujęcia faktów, zresztą nieraz może naukowo bardziej ciekawych, niż sprawa Jaremy (np. moja rewizja spraw lat 1443—44, słynnej kłeski bukowińskiej Olbrachta i t. d.), ale pytanie z zakresu wychowania narodowego.

Wytrzymałem spokojnie szereg, różnego zresztą charakteru ataków, z którymi się oddzielnie i na uboczu zajmę. Łatwo było przecież, chociażby z samego zastrzeżenia się redakcji, zorjentować, że nie chodzi „o pomniejszenie Trylogii” (?) dla efektu zewnętrznego, ale o szukanie klucza do kwestji i spraw, dla których umysłowość polska szuka rozwiązania od lat pięćdziesięciu. Jeśli byłbym w kilku słowach powiedział, że to wszystko, co jest tak genialnie opisane w „Ogniem i Mieczem” jest nieprawdą, odwróceniem obrazu, apoteozowaniem tego, co powinno być potępione, a potem przeszedł do zagadnień literackich, to — po pierwsze: nie byłoby to nikogo przekonało, a po drugie — mogłoby sprawić rzeczywiste wrażenie „napaści” na twórczość Sienkiewicza jako taką, czyli odgrzebywanie „wypadków” z lat 1884—85 i 1903—1904. Bez względu więc na literacki charakter zagadnienia i teren artykułów, musiałem dać choćby część zasadniczych argumentów historycznych, nie mogąc wyczerpać oczywiście na łamach pisma literackiego spraw chociażby tak ważkich, a tezy moje popierających, jak rozbiór marszu hetmana Potockiego pod Korsuń, wnioski z porównania zabiegów o „obronę Lwowa”, czynionych przez Ostroroga, z zaciągami Wiśniowieckiego, idącego od samego początku na zabranie pieniędzy, nie mogłem też wyczerpać powiedzeń i korespondencji Ossolińskiego, ani omówić szlacheckich podstaw akcji Chmielnickiego, czy jego tendencji do utrzymania pewnych latyfundiów ukraińskich, wreszcie wyciągnąć konsekwencje z rejestrów kozackich.

Mimo tych wszystkich niewypowiedzeń, sądzę jednak, że już obecnie z miejsca, przed daniem opracowania wypadków lat 1648—49, przyniosłem w trzech artykułach wystarczającą inicjatywę, czy rodzaj „pchnięcia” naukowego dla tych, którzy zechcą się zająć, jako krytycy literaccy, metodycznie twórczością Sienkiewicza, oraz jego znaczeniem pedagogicznym; inicjatywę, umożliwiającą przebycie

dotychczas nierozwiązalnych trudności, jakie myśl polska na tem polu napotykała.

Dwie przeprowadzone na ten temat dyskusje w towarzystwach naukowych (17/XI we Lwowie i 14/XII w Warszawie) umocniły mnie tylko w początkowym przekonaniu, że nie istnieje cytat źródłowy, lub istotny argument, który mógłby moje rewizyjne podejście do tych zagadnień podważyć. Odgłosy natomiast szerszych kół, powiedziałbym niefachowych, przekonały mnie o zrozumiałym fenomenie polskiego życia umysłowego, streszczającym się w obserwacji następującej. Dzięki zainteresowaniu powszechnemu dla procesów sądowych, wszyscy w Polsce świetnie rozumieją, dlaczego odciśnięcie palców, przychwycony list, lub wizja lokalna są dowodem, któremu nie można przeciwstawić opowiadań dozorczy z sąsiedniej kamienicy, lub wywodów obrońcy, trudno natomiast kogokolwiek przekonać, że list własnoręczny, bezpośrednia relacja, linja marszu, akta procesowe lub rachunki, to zupełnie coś innego pod względem siły dowodowej, niż odgłosy kronikarskie, zaaranżowane uchwały sejmikowe, wynurzenia panegiryków, lub późne apokryfy. Gdyby ogół polski chciał się w szerokiej skali interesować zagadnieniami umysłowymi wysokiego rzędu, studując dla orientacji np. „Historykę” Handelsmana, to rozumiałby, że polscy Skrzetuscy po encyklopedjach i herbarzach nie mogą kwestjonować schyzmatycko-kozackiego charakteru tego Skrzetuskiego, który przeszedł ze Zbaraża do Toporowa, nieszczęsny zaś Krzywonos był w każdym razie zawodowym oficerem, czy pułkownikiem, który przeszedł z wojska polskiego do Kozaków. To ostatnie zresztą powinien był wiedzieć Sienkiewicz, ponieważ korzystał z Michałowskiego „Księgi Pamiętniczej” (str. 95) już dla „Ogniem i Mieczem”.

Niezaprzeczenie jednak „Ogniem i Mieczem”, nietylko nie poraz pierwszy, ale raczej poraz trzeci kolei, okazało się ponownie tym nadzwyczajnym instrumentem budzenia głębszych zainteresowań ogółu polskiego, co przejawiało się zarówno w stanowisku prasy, jak na debatach naukowych. Można rzec bez przesady, że przy sprawie „Ogniem i Mieczem” powszechny intelekt Polski drgnął żywym zainteresowaniem naukowym, które oby tylko utrzymało swe napięcie.

Dyskusja o „Ogniem i Mieczem” nie zjawia się — jak wiadomo — poraz pierwszy na terenie polskich zainteresowań, toczy się ona przez wiele rozpraw, a mia-

ła swoje okresy napięcia, chociażby w latach 1884—85 i 1903—04. Faktem jest, że z całego zakresu twórczości Sienkiewicza „Ogniem i Mieczem” cieszyło się zarówno najwyższem uznaniem literackim, jak też wywoływało najwyższe protesty, z całego szeregu stanowisk. Objaw niemal naturalny wobec piękna powieści, subiektywnego zamiaru Sienkiewicza pisanie prawdy, oraz braku wglądu w rzeczywistość odwróconej fabuły. Wszystkie te sądy z poprzednich debat zostawiam na uboczu, zarówno cytowane ostatnio entuzjastycznie, np. St. Wietkiewicza, czy Żeromskiego, jak pioruny potępiania St. Brzozowskiego, że „ilekroć dotknie się on (Sienkiewicz) historii, tworzy karykaturę mimowolną i upokarzającą parodię”. Wszystkie te sądy, które łatwo cytować całymi stronicami wobec zebrania ich obok siebie w książce H. Czachowskiego (H. Sienkiewicz. „Obraz twórczości”. Warszawa 1931), bliżej mnie nie obchodzi, jako aposterjoryczne (zob. niżej). Wszystkie one razem są najwyżej wyrazem faktu, że myśl polska biedzi się od lat pięćdziesięciu nad pewną trudnością, której w gruncie rzeczy nie mógł rozwiązać również sam Sienkiewicz, ponieważ do jego śmierci historjografia nasza dawała takie odpowiedzi, jakie daje „Ogniem i Mieczem”. Przypomnieć bowiem należy, że sam Sienkiewicz w swych uwagach „O powieści historycznej” z roku 1889; (Pisma nieobj. wyd. zbior. wydał St. Demby I, str. 83—118) potępiał surowo, jako rzecz ujemną, nieprzestrzeganie prawdy historycznej w powieści, niepotrzebnie więc bronią go obecni oponenci, pouczając mnie, że powieść historyczna nie musi uwzględniać prawdy. Ja mogę się na to zgodzić, ale Sienkiewicz był stanowczo innego zdania. Oczywiście jest, że pisząc swoje uwagi już po wydaniu wszystkich części, nazwanych potem „Trylogią”, nie przewidział Sienkiewicz swego własnego wypadku, t. j. że chcąc subiektywnie dać prawdę zawsze i wszędzie, dał wprost przypadkowo w „Ogniem i Mieczem” obiektywną nieprawdę. Oto cały powód, że na kwestję tę sam Sienkiewicz nie mógł dać odpowiedzi, chociaż myśl polska bezustannie równocześnie zachwycała się pięknem „Ogniem i Mieczem”, jak buntowała się i protestowała przeciw treści, nie mogąc uzasadnić protestu swego odczuwania.

Krytycy literaccy, uciekając się raz za razem w dziesiątkach rozpraw i studjów o to rozwiązanie do historjografji polskiej, znajdują tam wszystko niemal tak

samo ujęte, jak w „Ogniem i Mieczem”, nawet w Encyklopedji Akademji Umiejętności (Hist. Polit. t. II). Nic więc dziwnego, że np. profesor literatury K. Wojciechowski w pracy zupełnie nowej (2 wyd. 1925) krótko stwierdza o całej Trylogji, że „uczyć się z niej można historii bez obawy, by nie przyswoić sobie fałszów”. Również studja monograficzne na temat historyczności „Ogniem i Mieczem” nie były w stanie rozstrzygnąć tego zagadnienia, chociaż jest w nich całe „Ogn. i Miecz.” zestawione stronicami ze źródłami, z których korzystał Sienkiewicz. Wykonał te prace J. Kijas w rozprawie pod tyt.: „Źródła historyczne w powieści „Ogniem i Mieczem” (Pam. Lit. 1927, str. 119—135), uzupełnionej nieznanym mi przyczynkiem Sabocińskiego (dane bibl. błędne) i Assanki Japolla o pamiętnikach Mikołaja Jemiolowskiego (Ill. Kur. Codz. 1903, Nr. 231). Nic nowego nie tkwi w rezultatach, do których doszedł J. Kijas, a mianowicie, że „sumiennie i krytycznie zebrany materiał historyczny jest dla niego (Sienkiewicza) kanwą, na której twórcza jego wyobraźnia tka wspaniałe obrazy”. Stwierdził więc monograficzny krytyk jeszcze raz to, co mówił o swym stosunku do źródeł sam Sienkiewicz. Nie mógł bowiem p. Kijas więcej wiedzieć, niż historjografia polska, która opracowując niejednokrotnie nie tylko trzecio-, czy podrzędne zagadnienia prawno-ustrojowe i drobne szczegóły wczesnego średniowiecza, nie posunęła się przez lat pięćdziesiąt na najważniejszym odcinku naszych dziejów nawet o krok naprzód, a co gorsze nawet nie zaabsorbowała wyników obcej nauki. Nie mogła też krytyka literacka rozstrzygnąć ciągle odnawianych sporów o „Ogniem i Mieczem”, skoro jej historjografia nasza nie nauczyła, że podstawą całego „odwrócenia” obrazu w „Ogniem i Mieczem” są właśnie źródła Sienkiewicza, które go naprowadziły na fałszywą drogę. Jej winą natomiast jest niewątpliwie, że nie opracowała krytycznie sienkiewiczowskiego sposobu posługiwania się źródłami.

Pomijając rozbiór szczegółowy, wykonany zresztą przez J. Kijasa (jednak bez uwzględnienia, jaką wartość miały te źródła), należy stwierdzić, że Sienkiewicz czerpał dla pierwszych tomów „Ogniem i Mieczem” najwięcej szczegółów z Latopisu Weliczki, który nie jest bynajmniej źródłem współczesnym, jak się go w naszej literaturze cytuje, lecz pełną błędów komplikacją z końca XVII i początku XVIII wieku (zob. m. in. Korduba: Zeitschr. f. osteurop. Gesch. VI, 52), w dalszych zaś dwóch tomach głównie z pierwszej serji Szkiców Kubali. Szkice te, jak starałem się we wszystkich dotychczasowych sądach wykazać, są metodycznie niedokładną, błędną w rozumieniu rzeczy i nieraz wizjonersko-fantastyczną wręcz częścią prac tego, tak wartościowego człowieka, opracowującego w najcięższych warunkach, bez środków i bez uniwersyteckiego warsztatu pracy, odlegiem leżące czasy Władysława IV i Jana Kazimierza. Nastawienie naukowe Kubali utrzymało się w całej sile przez lat pięćdziesiąt, zaciążyło, jak wspomniałem w wstępie, na pracy W. Tomkiewicza o Jeremim Wiśniowieckim, pracy zrobionej z wysoką techniką i z szerokim zakresem źródeł, co muszę uznać przy pewnych zastrzeżeniach metodycznych, a zasadniczym sprzecznie, zarówno co do szczegółów, jak całości ujęcia. Prace ks. Frąsja, pisane również pod wpływem Kubali, wykazują natomiast nierówne wyzyskanie źródeł, a zwłaszcza rzecz o bitwie zboroskiej aż zbyt wiele pozostawia do życzenia. Dopiero bo-

wiem przez krytykę źródeł i literatury historycznej z czasów „Ogniem i Mieczem” można znaleźć klucz do tego nieporozumienia, które istnieje — przy całym holdzie dla artyzmu tej powieści, — między jej fabułą i ujęciem, a czytelnikami znającymi wiek XVII.

Stwierdzając u wstępu artykułów o „Ogniem i Mieczem”, że chodzi o zagadnienie nawet bardziej zasadnicze, niż poprawianie błędów w kwestji kozackiej, podkreślając, że Sienkiewicz „wpływał szerzej, w większym kole zasięgów, niż genjusz Słowackiego, Mickiewicza czy Wyspiańskiego”, miałem przekonanie, — brzmieć może to paradoksalnie — że dopiero druzgocąca krytyka historycznej strony „Ogniem i Mieczem”, oraz rozbitcie z gruntu fałszywych koncepcyj o jakiejś wewnętrznej od założenia spistości t. zw. Trylogji, jest właśnie punktem wyjścia do właściwej, bo genetycznej oceny Sienkiewicza. Wiedziałem bowiem, że na tej drodze wielkość Sienkiewicza, stwierdzona poprostu spełnioną przezeń rolą, dojdzie pozytywniej i dobitniej do głosu, niż we wszystkich impresjonistycznych panegirach.

Poważnej, głębokiej, wyczerpującej i udokumentowanej monografii o twórczości Sienkiewicza niema i przed utorowaniem drogi przez historyków nie możemy mieć takiej pracy, wypowiadającej ostatnie słowo. Istnieje natomiast około dwieście rozpraw o twórczości i dziełach Sienkiewicza, jak to łatwo sprawdzić u G. Korbuta (Liter. pol. II wyd. 1931 str. 133 — 137) i w książce Czachowskiego (str. 7 — 14, 26 — 7, 32 — 34), w których jednak pewne zasadnicze i decydujące sprawy nie zostały dotknięte. Niewątpliwie też słusznie uprzedził mnie J. Kaden-Bandrowski („Gazeta Polska” 1933 Nr. 339), wysypawszy, w życzliwym słowie o moim drugim artykule, zasłużoną reprimendę naszej krytyce literackiej. Gdy dzisiaj posiadamy już dzięki St. Dembememu i Ign. Chrzanowskiemu wydanie rozproszonych pism Sienkiewicza, gdy Juliusz Kleiner w pracy o Słowackim, a zwłaszcza w swem studjum o Krasieńskim, pokazał, jak pracować należy, jak trzeba razem z twórcą czytać, uczyć się i myśleć, by jego dzieła zrozumieć i ocenić, gdy literatura o Mickiewiczu przyniosła po przerwie dziesiątek lat tyle nowych oświeleń, — czas już zerwać z drukowaniem aposterjorycznych impresyj, a podejść do twórczości Sienkiewicza tym systemem i tą miarą metodyczną, na jaką zasługuje. W mem odczuciu jest wprost grzechem krytyki wobec roli spełnionej faktycznie przez Sienkiewicza w dziejach duszy polskiej, rozpisywanie się, czy komu Trylogja podoba się, czy nie, dlaczego tak, a dlaczego nie, jakie miejsce bardziej a jaka postać mniej, dawno już bowiem minęły czasy osądzeń, komu się podoba „Król-Duch”, a komu „Przedświt”, komu obydwu, a komu żaden.

Literacka krytyka impresji aposterjorycznej, t. j. spisywanie wrażeń po przeczytaniu książki, czy zobaczeniu dramatu, jest oczywiście niezbędną i słuszną w stosunku do talentu, który się przebijają, nie może jednak spełnić wyczerpującej roli wobec twórczości, która odegrała już taką rolę, jak Sienkiewicz. Do impresji aposterjorycznej potrzeba sporo inteligencji i możliwie dobrego stylu (najlepiej może zresztą — wielką dozę złośliwego dowcipu), ale dla oceny genetycznej wielkiego twórcy trzeba obok wysokiej inteligencji i znośnego stylu, jeszcze sporej dozy wiedzy i metody. W odniesieniu do Sienkiewicza trzeba było pozatem interwencji historyka, bo ani krytyk, czy umysł miary St. Brzozowskiego, nazy-

wając Trylogję karykaturą i parodią historyczną, ani profesor literatury K. Wojciechowski, każąc z niej uczyć się prawdziwej historii bez obawy fałszu, nie mieli wogóle w ręku elementów, pozwalających im te rzeczy osądzać. Historjografia bowiem polska nie dała im danych nie tylko w odniesieniu do Kubali, ale chociażby w odniesieniu do kronik ruskich, w których rozczytywał się Sienkiewicz.

Punktem wyjścia dla oceny twórczości Sienkiewicza na terenie powieści historycznych musi być genetyczne badanie i przechodzenie z nim razem wszystkiego, co czytał i myślał między latami 1880 a 1889, ustalając, jak z przeczytanego korzystał. Na tem polu już sam podział twórczości Sienkiewicza na okresy (np. u Korbuta str. 131) jest nieuzasadniony. Pozostanie zasługą St. Lama („H Sienkiewicz” 1924, str. 48 — 49), że zwrócił uwagę na sienkiewiczowską recenzję Kubali w „Niwie” (1880 t. XVII zeszyt 140/1). Jest to punkt zwrotny dla twórczości Sienkiewicza, ale z miejsca raz za razem w literaturze naszej fałszywie interpretowany. Uważa się powszechnie np. pierwszy występ Sienkiewicza na terenie powieści, czy noweli historycznej: „Niewolę tatarską”, za rzecz powstałą z inspiracji szkiców Kubali (zob. np. A. Brückner „Dzieje lit. pol.” II — 374, lub Czemiński: „H. Sienkiewicz”. 1924 st. 91). Jest to pogląd nieuzasadniony. Rzut oka w rocznik „Niwę” (rec. Kubali przez A. R. zeszyt 136, rec. Sienkiewicza z. 140/1, Niewola tatarska z. 143) uwidacznia, jak egzemplarz Kubali, wyrwany z rąk do rąk krążył w redakcji „Niwę”. „Niewola tatarska” (nowele pisał Sienkiewicz w całości, nie częściami, zawsze starannie je przygotowując), była napisana przed zapoznaniem się Sienkiewicza ze Szkicami Kubali, które jedynie odegrały rolę instrumentu zainteresowania dla czasów minionych. Z drugiej strony ze skrupulatnego przeczytania „Niewoli tatarskiej” widocznym jest, że w oddanej, czy raczej czekającej druku noweli, nie tylko niema najmniejszego wpływu Kubali, ale są raczej pewne nastawienia psychiczne, które Sienkiewicz pod wpływem Kubali stracił. Bez zamiaru wchodzenia ściślej na tory krytyki literackiej rozprowadziłem się nad tym punktem nieco szerzej dla przykładu, jak Sienkiewicz powinien być opracowany w tej sferze zagadnień, a więc metodą historyczną, połączoną z oceną literacką, gdyż nie pozwolą go zrozumieć i ocenić, same dla siebie, ani przyczynki poszukiwań za źródłami, ani impresje i domysły po czytaniu utworów.

We wspomnianej recenzji Sienkiewicza o Kubali jest jeden zasadniczy, a niezauważony moment, który będzie decydował o jego twórczości i stanie się dźwignią dla jego roli w dziejach duszy polskiej. Sienkiewicz przy całym entuzjazmie dla Szkiców zbuntował się w jednym punkcie przeciw Kubali i w ocenie Jana Kazimierza poszedł za Szujskim („Niwę” XVII, 612/13). Jest to ponownie klucz w dziejach jego twórczości, jak sprawa „Niewoli tatarskiej”. Sienkiewicz przed Kubalą i bez Kubali rozczytywał się w wieku XVII, niestety bez możliwości znalezienia w historjografji polskiej szczegółowego i wytrawnego przewodnika dla zagadnień kozackich i tatarskich, które go szczególnie pociągały. Szkice Kubali „wzięły go na całego”, z miejsca rozentuzjazmowały go niesłychanie. Gdy jednak spotkał się z Kubalą na terenie psychologii ludzkiej, a nie wywodów wojskowo-historycznych, jak przy sprawie charakteru Jana Kazimierza, okazał się silniejszy od pierwowzoru. Oczywiście nie mógł wiedzieć wówczas Sien-

kiewicz, skoro nie stwierdziła tego do dzisiaj historjografia polska, że tak ciężki zarzut braku charakteru Jana Kazimierza, przyrodzonej złośliwości, nędznego zachowania się (Szk. Hist. wyd. V S. 1. str. 19), postawiony przez Kubalę, a przyjęty potem w naiwnej charakterystyce przez Czerbaka (Kwart. Hist. r. 1889), a częściowo wogóle przez literaturę, wyprowadził Kubalę z niezrozumienia swego własnego źródła. Kubalę zrobił Jana Kazimierza człowiekiem denuncjującym swych dobroczyńców, podczas gdy król Jan Kazimierz poprostu zdemaskował, siedząc w więzieniu, próbę francuskiej prowokacji, udając, że nie rozumie, dlaczego planujących jego ucieczkę oszczędzono, a jego jeszcze ukarano za odrzucenie planu ucieczki z więzienia.

W miarę czerpania całymi garściami ze Szkiców Kubali przy pisaniu „Ogniem i Mieczem”, Sienkiewicz począł zauważać jego niedopuszczalne błędy i fantazje, chociaż fachowa historjografia polska nie orientuje się w tem nieraz po dziś dzień. Niestety, stało się to już pod koniec „Ogniem i Mieczem”, a sam Sienkiewicz nigdzie tego nie zaznaczył, zachowując nawet dla późniejszych prac Kubali, niewątpliwie krytyczniejszych i cenniejszych od początkowych, sąd życzliwy, ale bynajmniej nie entuzjastyczny („Książka” 1914 — „Pism. Zapom. i Niewyd.”). Muszę powtórzyć ponownie, że nie jest moim zadaniem przeprowadzanie rozbioru krytycznego, chociażby tylko „Ogniem i Mieczem”, niemniej jednak wskażę na jeden niezauważony szczegół, który sam za siebie więcej mówi zarówno o Kubali, jak o Sienkiewiczu, niż cały szereg artykułów.

Pierwsze Szkice Kubali cieszą się po dziś dzień opinią nie tylko znakomitych, ale „gruntownych” i solidnych; jest to zdanie powszechne, podkreślane nawet np. zarówno przez Bobrzyńskiego, czy Konopczyńskiego, jak z drugiej strony przez Hruszewskiego. Dla przeciwstawienia się temu przytoczę jeden przykład z opisu bitwy pod Beresteczkiem. Ukochany i niezrównany wizjoner Kubala, wzruszony odparciem Tatarów, pogalopował w swej fantazji ku następującemu zdaniu: „nieprzejrzane ordy tatarskie, sylistryjskich, rumelskich i dobrockich Turków, Wołoszy, Urumbalów, Janiczarów, Perjerów, od morza Lodowatego, od gór Uralskich, od morza Kaspijskiego przywołane, zostały pokonane, odpędzone, a szarańcza kozacka w taborze otoczona” (Szk. Hist. I — 188). Złapać się można za głowę z przerażenia wobec tego galimatjasu geografji i niemożliwości w tej „solidności”, skądinąd tak wartościowego człowieka i zasłużonego uczonego. Od czasów Morgenbessera i „Kary Mustafy, wielkiego wodza Krzyżaków” nikt nie prowadził ludzi z nad oceanu Lodowatego (Eskimosów!?) przez Krym, czy Czechryń na Beresteczko!

Jak się do tego ustosunkowuje Sienkiewicz, który — jak to powszechnie wiadomo — sam o sobie stwierdził: — „większą część moich powieści (prawie wszystkie, prócz nowel) pisałem z dnia na dzień, odsyłając zaraz napisane kartki do druku” (odpowiedź na ankietę „Świata” z r. 1913, Nr. 23). Przy tym systemie pracy Sienkiewicz nieraz, śpiesząc się i t. d. niejedno zdanie brał żywcem z Kubali. Podobnie zrobił ze zdaniem wyżej przytoczonym (zob. „Ogniem i Mieczem” wyd. Ossol. t. II, str. 292; I wyd. t. IV, str. 744), tylko... ocean Lodowaty Kubali szybko przerobił na „blota Meockie”, t. j. morze Azowskie, co oczywiście jednym pociągnięciem pióra usunęło gros tej skrajnej bezsensowności. Niewątpliwie takich przejawów

zmysłu krytycznego Sienkiewicza, którym może nawet górował on nad współczesną historjografią tych wypadków, znalazłoby się wiele, ale to już jest zadaniem przyszłej krytyki literackiej. Wszystkie natomiast wyżej podane uwagi winny wystarczyć do przystąpienia do rzeczy właściwej, t. j. do zagadnienia walorów twórczości Sienkiewicza w polskiej powieści historycznej, oraz oceny historycznej i pedagogicznej dzieł zaczerpniętych z kart wieku XVII.

Przedewszystkiem trzeba zerwać z aposterjorycznymi rozważaniami nad t. zw. Trylogią.

Jest to zasadniczy błąd myślenia w całej tej sprawie, spetryfikowany przez wszystkie historie literatury, by przytoczyć tylko Tarnowskiego, Feldmana, Potockiego, interpretacje szkolne Kridla i t. d. Fakt, że szereg dzieł przez samego nawet Sienkiewicza zostało później razem objętych określeniem Trylogii, oraz intencją „krzepienia serc”, tak samo jak to, że pewne postacie z „Ogniem i Mieczem” kontynuują swą egzystencję w następnych powieściach, — niczego jeszcze nie dowodzi. Prowadzi tylko do błędów, niezrozumienia roli, oraz utrudnia ocenę poszczególnych dzieł Sienkiewicza. Przykłady na to nieporozumienie, wynikłe ze słowa „Trylogia” możnaby cytować tomami, wystarczy jeśli dla charakterystyki przytoczyć, że profesor literatury Kallenbach („Twórczość Sienkiewicza — Rozwój Duchowy”. 1917 str. 123), chcąc wykazać, że Sienkiewicz naświetlał nietylko jasne, ale również i ciemne strony życia wieku XVII, udowadnia swą tezę postaciami z Trylogii, nie orientując się zupełnie, że dla ilustracji pierwszej strony sprawy wskazuje bez wyjątku na postacie z „Ogniem i Mieczem”, a dla drugiej wyłącznie z „Potopu”.

W powodzi rozpraw, szkiców, impresyj i t. d. o powieściach historycznych Sienkiewicza, o ile można do nich bez specjalnych poszukiwań dotrzeć, uderzyły mnie jednak trzy obserwacje. St. Tarnowski, człowiek, na którego oczach powstawała Trylogia, stwierdza wprawdzie (zupełnie zresztą bez podstaw) jednolitość założeń, zamiarów i celu moralnego w „Ogniem i Mieczem” i „Potopie” (Hist. Lit. VI 2, str. 421), ale tuż dalej podkreśla (str. 423), że „Potop” był może gruntowniejszym, jego plan staranniejszym ułożony i t. d. Prof. T. Zieliński, zastrzegając zresztą wyraźnie swój charakter impresjonistyczny stwierdza odrazu i kategorycznie, („Idea Polski w dziełach Sienkiewicza” str. 34 — 40), że wartość pedagogiczną ma tylko „Potop”, ale wobec niewdawania się w genezę poszczególnych części, „Ogniem i Mieczem” wydaje mu się rodzajem prologu, chociaż nigdy, jako prolog nie było ono pomyślane. J. Kleiner trafnie stwierdza, że Sienkiewicz w „Ogniem i Mieczem”: „przemienił historję w powieść”, a w „Potopie”: „napisał powieść wprawdzie świetną, ale tylko powieść historyczną” (zob. u Czachowskiego 164), jednym słowem wyczuł obydwie strony nieśmiertelnego „Dichtung und Wahrheit”, bez wchodzenia w powody, i genezę.

Jednym słowem, myśl polskiej krytyki literackiej — przykładowo i dorywczo podana, — tak zresztą jak wszystkich czytelników, krążyła około zupełnie jasnej i ewidentnej różnicy między „Ogniem i Mieczem”, a „Potopem”, kładąc raz nacisk na pierwszą powieść ze względu na walory artystyczne, a raz na drugą ze względu na walory treściowe i pedagogiczne. Ten stan utrzymał się w miejsce stwierdzenia drogą badań genetycznych i wnikięcia w proces powstawania, że „Potop” jest pod każdym względem przeciw-

stawieniem „Ogniem i Mieczem”, oraz że w tem właśnie leży ten istotny moment skali Sienkiewicza, który nie pozwala go zestawić ze znakomitym zresztą Dumas'em ojcem.

Dla przeprowadzenia tezy i podejścia genetycznego, z naciskiem na stronę historyczną, muszę przypomnieć kilka znanych rzeczy. Sienkiewicz, wzięwszy za pióro pod wrażeniem Szkieł Kubali i na tle pewnego, słabego jeszcze, odczytania się w wieku XVII, bynajmniej nie zamierzał pisać jakiejś Trylogii, ani żadnego planu takiego nie budował. Może właśnie dlatego stworzył jednym ciągiem trzy dzieła, nazwane potem Trylogią, które pod naciskiem czytającej publiczności powiązał pewnymi postaciami. To jest moment decydujący dla „Ogniem i Mieczem”, dlatego, że — oczywiście — plany napisania „Pana Wołodyjowskiego”, jako zamknięcia całości, wyglądają inaczej. Dla odmiany zaś, gdy Sienkiewicz, znacznie później, chciał napisać Trylogję i takie wielkie dzieło planował (zob. np. Brückner II, 390), a to na tle ostatniej ćwierci XVII wieku, nigdy go już nie wykonał po niefortunnej pierwszej części „Na polu chwały”. Jak wiadomo, Sienkiewicz chciał napisać na jeden tom zakrojone „Wilece gniazda” (m. inn. Kalenbach, str. 15), z tytułem wymyślonym następnie przez D. Henkiela (Czempiniński, str. 92), pod którym się rozrosło do czterech tomów. Sienkiewicz, zresztą jak każdy artysta, o swojej własnej twórczości myślał również aposterjorycznie i w roku 1913 (ankieta „Świata”) na pytanie o genezę Trylogii odpowiedział aposterjorycznie, że powstała ona „z rozczytywania się w kronikach i pamiętnikach z epoki, którą odczu-

wał artystycznie mocniej, niż inne okresy dziejów, i z chęci pokrzepienia serc”. W rzeczywistości bynajmniej tak nie było. Planował zwykły romans polskiego rycerza z kniaziówną Kurcewiczówną, której szczytem miał być zbaraski triumf Skrzetuskiego. Bohuna w całej charakterystyce wziął żywcem dla swej fantazji z Kubali, obniżając go potem dla nastrojów czytelników, tak, jak przez sentyment autora i czytelników poczył wyciągać do góry Zagłobę. Tymczasem pisaniu, rozpoczętemu z dnia na dzień, wszedł w drogę fakt, nietylko nieprzewidywany, ale przeciwny wszystkim ostrzeżeniom znajomych, — niebywałego i nienapotykanego w Polsce entuzjazmu. Przyjęcie przez publiczność zrodziło w Sienkiewiczu świadomość, że cała Polska myśląca codziennie przeżywa jego słowa. „Ogniem i Mieczem”, poczęło nawet krążyć przed wyjściem w księżce — w odpisach!

Cechą zasadniczą Sienkiewicza, jako człowieka, pozostanie aż do grobowej deski jego z myślą odpowiedzialności najpierw wobec siebie i swoich dążeń, a potem od roku 1883 wobec narodu i historii. Już w ciągu pisania „Ogniem i Mieczem” zaczyna sobie pogłębiać; dla świata „Czasu”, w którym jednocześnie swą powieść drukuje, daje u końca drugiego tomu scenę Wiśniowieckiego, którą wprawia w entuzjazm St. Tarnowskiego i pozyskuje mu cały świat szkoły krakowskiej. Równocześnie rozczytuje się coraz bardziej w źródłach, gdy początkowo żył głównie Weliczką i mało wartościowym panegirikiem Maszkiewiczem, którego nazwał „Ksenofontem” odwrotu Wiśniowieckiego.

Równocześnie, w miarę postępu powie-

ANDRZEJ
PLEŚNIEWICZ

ANDRÉ MALRAUX

Najbardziej pożądane odznaczenie literackie we Francji, nagroda Goncourtów, nie stała się w tym roku rewelacją nowego talentu. Wieńczy ona twórczość André Malraux, młodego pisarza, który zdołał już zwrócić na siebie uwagę krytyki i trafić do czytelników. Pierwsza jego powieść „Les Conquerants” była debiutem zauważonym i zręcznym, następna „Voie Royale” dała dowód dojrzałego już artyzmu autora. Osnową akcji nagrodzonej obecnie powieści, „Byt człowieka” (La Condition Humaine) są dzieje zdławionej rewolty komunistycznej Szanghaju. Wartością książki jest jej treść ogólnoludzka, zupełne pominięcie tanich efektów egzotycznego sztafazu.

Powieść francuska od czasów impresjonizmu znajduje się na rozdrożu między psychologią analizy a dynamiką akcji, twórczość Malraux przezwycięża tę pozorną antynomję. Myśl wypowiada się w czynie, nie w syllogizmie, mówi jeden z bohaterów powieści. W tym sensie „Byt człowieka” jest dziełem moralisty, gdyż, podobnie do „Falszerzy” Gide'a, narzuca czytelnikowi postawę życiową swych bohaterów. Zewnętrznie człowiek jest tem co zrobił, wewnętrznie winien być afirmacją bardziej intensywnej, struną bardziej napiętą, niż inni. Bohaterowie powieści Malraux dokonali wyboru między tragicznym istnieniem i absurdem wegetacji, by szukać swej osobowości najgłębszej, osiągnąć granice „Bytu człowieka” swej epoki.

Są to aktorzy i twórcy własnych dramatów. Terroryzm fascynuje Tchena, baron Clappique stwarza dookoła siebie aurę mitomanji — ciągłego załgania, by zaprzeczać życiu, którego nie może opanować lub zapomnieć. Taką ucieczką od rzeczywistości jest miłość dla May, erotyzm dla Ferrala czy opium dla starego profesora Gisors. W istocie uciekają przed tem samym. Cóż dzieli psychologię prezesa Francuskiej Izby Handlowej Szanghaju, Ferrala, od rewolucjonistów z którymi walczy, co poza utrudnionym wysiłkiem łączy Tchena z komunistami dla których morduje i kona? W czem tkwi prawda ich wewnętrzznego świata, a zatem rzetelność i wartość ich walki?

W 1927 roku, rozgrywają się w Chinach

wypadki światowego znaczenia. Każdy z ich uczestników musiał, chociażby wbrew woli, czuć pulsowanie historii w swem życiu codziennym. Lecz w ujęciu powieściopisarza rewolucja nie staje się zbiorowym wysiłkiem dla narzucenia życiu nowej formy społecznej, jest tylko indywidualnym rozstrzygnięciem dla każdego odmiennym — tylko źródłem wartkiego prądu wypadków: walk, morderstw czy egzekucji, dającym bohaterom powieści możliwości wyzycia się, wypowiedzenia się w czynie. Kyo Gisors walczy o godność swych towarzyszy, o to, by praca stała się ich ojczyzną i triumfem, nie zaś niewolą i krzywdą. Zapewne, lecz to zbyt mało, czy wiele, jak na hasło ulicznej walki.

Pozostali bronią się daremnie, skoro stracili wiarę w myśl, będącą jedyną formą ich działania. Napięcie woli i gotowość śmierci dadzą już tylko możliwość wygranej — nie siłę, by żyć swem zwycięstwem. Albowiem wola bohaterów powieści manifestuje się dopiero tam, gdzie zwykle w życiu wygasa: po zaniku wierzeń i złudzeń. Stąd świadomość ich jest kontrastem obrazów, konfliktem między samotnością wewnętrzną a zewnętrznym udziałem w walce.

Niema poznania. Stary Gisors dostrzeża u innych jedynie te przeżycia, które w sobie w danej chwili kulturuje. Clappique przerażony jest zbyt łatwym sukcesem maskarady, która ocalał mu życie, skoro dostrzegł, że wystarczy zmienić smoking na bluzę marynarza, by zatracić całą swą przeszłość w oczach innych.

Pirandello, Proust czy Paul Valéry w „Monsieur Teste” pisali już podobnie, lecz taka postawa poznawcza intelektu wykluczała w ich mniemaniu gotowość do czynu, apologję wyzwania i walki. Dlatego twórczość Malraux jest w literaturze francuskiej zjawiskiem przejściowym między okresem wojennego niepokoju, który znalazł swój wyraz w poezji Pawła Valéry i w fizycznie — zdawałoby się giętkiej — frazie Marcelego Prousta, a obecnym okresem rekonstrukcji wyrażonej w twardej, brutalnej rzetelności stylu powieści Céline'a, Braibant czy Romainsa we Francji, lub Juljusza Kadena-Bandrowskiego u nas.

ści, rodzi się w nim poczucie tej potrzeby, która mogła przyjść na myśl tylko powieściopisarzowi historycznemu Polski w rozbiorach, t. j. idei, w sensie wskazań dla ogółu, potrzeby zresztą czysto z zakresu ówczesnej Polski, gdyż w zasadzie to, co pisał, t. j. romans wpleciony w obraz historyczny, idei i wskazań dla narodu nie wymagał. Ciągłe bowiem jeszcze pisał tylko „powieść z lat dawnych”, a nie żadną Trylogję dla „pokrzepienia serc”.

Tymczasem, wobec założeń początkowych, na ideę było już za późno, ani też zasadnicze źródła Sienkiewicza nie dawały mu do tego podstawy myślowej. Podobnie wreszcie postać kniazia Jaremy można było obrazowo apoteozować, jak to zresztą zrobił Juljusz Kossak, ale przecież było trudno — mimo wysiłków — w jego rolę dziejową i czyny wcielić jakieś wskazania dla Polski, nawet drogą wkładania w niego marzeń, które faktycznie zwalczał. Zakończył swą powieść Sienkiewicz znanymi słowami „nienawiść wrosła w serca i zatrula krew pobratymczą”, chociaż przedtem nie naprowadził ani jednego momentu, że to jest walka pobratymczych obozów, czy dusz, a natomiast rzekomą dzicz kozacką przeciwstawił apoteozie szlachetczyzny i oligarchji. Zwrócił już na to uwagę J. Kijas („Ruch Liter.” 1927, str. 267), że Sienkiewicz we wspomnianej wyżej swojej recenzji Kubali w „Niwie”, uwagi swoje o tych czasach zakończył wręcz przeciwnym twierdzeniem, a mianowicie, „— rzecz godna uwagi i zastanowienia się — pamięci tych czasów nie towarzyszy nienawiść” (XVII, 696). Nie spostrzegła jednak ta krytyka literacka dotychczas, że te dodane przez Sienkiewicza na końcu słowa „o krwi pobratymczej”, tak często w opracowaniach cytowane, były już tylko bezadziejną, spóźnioną próbą dorobienia ideologii w sensie wskazań. Na wyrobienie bowiem idei w ciągu pisania było już zapóźno i nic dziwnego, że mu potem z takim ogromnym naciskiem przygwoździł z miejsca ten fakt Z. Kaczkowski („Wędrowiec” 1884, str. 483). Słusznie bowiem zapytał go Kaczkowski w krytyce, do której powrócę: „jakaż jest myśl dziejowa w Sienkiewicza powieści? Jakaż jest myśl choćby samego autora? Szukamy jej wszędzie, ale nie możemy znaleźć”.

Rzeczywiście bowiem ten obraz historyczny, jakim jest „Ogniem i Mieczem”, najniewłaściwie tłumaczony potem słowami i tendencjami znacznie późniejszymi, jest powieścią bezideową, zresztą głównie dlatego, że tej idei przewodniej dla całości nie mogły dać Sienkiewiczowi ani źródła, ani historjografia tych czasów. Jakkolwiek ten właśnie, początkowo ujemny, moment stanie się potem punktem wyjściowym roli Sienkiewicza, jako tego, który był „duchowym wodzem narodu” (słowa Czempinińskiego i całej odnośnej literatury), jakkolwiek ten brak ideowości nadał właśnie jego pierwszej historycznej powieści największy rozmach i najbardziej artystyczne ujęcie wśród wszystkich jego utworów, jest on powodem, że „Ogniem i Mieczem” jest dziełem, na stałe, niepedagogicznym, chociaż niewątpliwie było swego czasu odżywką regeneracyjną dla najlepszych stron duszy polskiej.

Co więcej — „Ogniem i Mieczem” stało się niemal przypadkowo dziełem, które zaciążyło w sposób wyjątkowo sugestywny, a ujemny, na polskim odczuwaniu tej kwestji, którą nazwałbym drugoplanową dla Sienkiewicza i dla potrzeby krytyki „Ogniem i Mieczem”, t. j. na odczuwaniu sprawy kozackiej, czyli mówiąc po dzisiejszemu — ukraińskiej.

J. E. SKIWSKI

P O Z N A Ń

Przez okno

Czolo przyciskam do szyby. Podnoszę oczy i widzę szron na wielkim kwietniku, który zapewne będzie mi towarzyszem pracy i rozmyślań, póki nie zabudują placu. Oby trwało to jak najdłużej! Chodzę po pokoju. I znowu wracam do okna. Już nie widać kwietnika. Mglisty atrament nocy — i pogrążony w nim, złoty rząd latarni, zapewne gazowych: świecąca lizska rzucona w czarną otchłań. Wszystko to jest mi jeszcze nowe, jeszcze wrocie (jako że nowe) ale, czuję — cały ten obraz, podobny do tych, które się widuje z okien wagonu, dojeżdżając do wielkiego miasta, włączę niebawem do codziennego inwentarza wrzuseń. Ten kwietnik i te latarnie są mi — na dobrą sprawę — już dziś bliskie.

Incipit Zarathustra...

I teraz właśnie czas, by zamknąć bilans sześćdziesięcioletni, by się rzetelnie i po ludzku rozliczyć z Poznaniem. Nigdy nie rozumiałem tych, którzy z racji jakichś tam pretensyj, słusznych czy niesłusznych, odwracali się od miasta, którego ulicami chodzili co dnia, którego skwery cieszyli ich na wiosnę, a restauracje zimą, szumnie zalecanem i dobrze „pielegnowanem” piwem; od miasta, które ich potysiądkroć co dnia drażniło i potysiądkroć cieszyło — poprostu tem że jest, że fantazja losu rzuciła na ten właśnie skrawek ziemi takich ludzi i takie drzewa, takie tramwaje i takie restauracje, takie kobiety, i takich roznościeli gazet. To są wszystko rzeczy bardzo ważne, i mówiąc prawdę, temi rzeczami żyjemy, a nie wiadomościami z gazet o Lidze Narodów. Tak więc trzeba o tym Poznaniu coś powiedzieć, i to nie tylko gwoli ukojenia tęsknoty, ale i „tak”, aby rozwiać zabobony, snujące się koło tego miasta, koło tych ludzi, koło tej ziemi.

Konwencjonalizm

Jeśli Poznań — to trzeba mówić coś w tym kształcie. Kultura materialna, dryll, asfalt, piwo, wymiecione schody i zautomatyzowani ludzie. I ja tak mówię. Bo wielka jest moc komunału. I wielki zasięg jego władzy. Komunał, twór tajemniczy, którego żywot i podstępny zawsze mnie zastanawiał, ma kilka pięt. Inny jest komunał dla gwiazdy, inny dla literatów. Każda kasta ma swoje komunały. Mamy też komunał inteligentny, który obowiązuje „pewne sfery”. Dość np. przeczytać frazesy pacyfistyczne niektórych naszych literatów, by przekonać się, jak dalece w środowisku, rzekomo zwalczającym komunał, właśnie komunał jest zakorzeniony. Do tego „inteligentnego” repertuaru należą komunały o Poznaniu. A zresztą, jak każdy komunał, tak i ten, ma swoje uzasadnienie, swoją chudą rację. Chudą i nieciekawą ale zawsze rację, racyjkę...

Dziesięć groszy

Było to w pierwszym roku pobytu. Siedziałem zmęczony, zimą w małej kawiarni, ce, gdzieś w okolicy Starego Rynku. Na nikogo nie czekałem, nie pilnego nie miałem do roboty. Trzeba było zwleć się z miejsca i wrócić do domu. Zawolałem kelnera. Zbiegając resztę, którą mi wydał, potrąciłem tak jakoś dziesięciogroszową monetę, że mi spadła. Byłem zmęczony i nie chciało mi się jej podnieść. Trochę się tego wstydzilem. Ale panienka, która siedziała przy sąsiednim stoliku nie podejrzewała w zdrowie prosto, cie ducha tego, bądź co bądź dekadentckiego zawstydzienia — i z nieco automatyczną, „sklepową” grzecznością podniosła monetę, oddając mi ją. Zrobiła rzecz zupełnie naturalną w sposób zupełnie naturalny. Nie mogła sobie wyobrazić, żeby komuś nie chciało się podnieść dziesięciu groszy (komuś, kto chodzi do tej samej co ona kawiarni), a uczciwość nakazała jej monetę zwrócić właściemu celowi. Ale w tym prostym geście uczciwości zobaczyłem jeszcze coś więcej, co mnie uderzyło. Coś, czego — jak Polska długa i szeroka — próżnoby szukał poza Poznaniem. Oto prostota tego gestu. Dziewcząt uczciwych które „nie wezmą cudzego” — jest w Polsce wiele. Ale proszę sobie wyobrazić warszawiankę czy krakowiankę podnoszącą

„jakimś panu” tak z ziemi własnymi rękami „glupie” dziesięć groszy. Sytuacja rozwiązałaby się w formule dość niedorzecznej i dość snobistycznej — że „nie wypada”, czy że „wielkie rzeczy dziesięć groszy”; wogóle nie należałoby tego zauważyć. Każda taka panienka z „naszych” dzielnic byłaby mniej więcej „ponadto”, mniej więcej glupio, barbarzyńsko i „z gestem”. U poznanianki cała ta sfera skrupułów nie istnieje. To jest jednak cywilizacja. Branie poprostu rzeczy prostych. Te podniesione dziesięć groszy otwarły mi nową ścieżkę obserwacyjną. Zaczęłem spostrzegać, jak bardzo Poznań wolny jest od tego balastu niepotrzebnych więzi, które sznurują psychikę innych dzielnic. W żadnym skupieniu ludzkim nie zbraknie powodów, by ludzie zalewali sobie sadła za skórę, ale jednak można dojść do tego, żeby do sadła nie mieszać kwasu siarczanego ani nie okraszać go kiepskimi perfumami. Jak sadło — to sadło. Motywy postępowania są na wierzchu, granice między ludźmi wyraźniejsze i mniej wstydlive, ambicje skodyfikowane i jakoś dopasowane racjonalnie do życia. A stąd — mimo rubasności zachowania — brak inności i zjadliwości i wzajemnego sobą gardzenia. W Poznaniu życie osiada na różnych poziomach i na każdym z nich krystalizuje się po swojemu, wedle praw własnych, z własnymi satysfakcjami, z własnym kręgiem ambicji i zadowoleń, z własną metą, której osiągnięcie sprawia ludziom ogromne zadowolenie, ani trochę nie zmącone tem, że są inne mety, które osiągną inni ludzie. U nas — wszystko podciągnięte jest do mety najwyższej, to znaczy do fikcyjnej, poprostu do żadnej. Wyścig na nieistniejącym torze. I niech nikt nie zawraca głowy z „bujnością”, bo to nie jest żadna bujność, tylko próżność i barbarzyństwo.

Odrotna strona medalu

Kiedy przechodzę ulicami Poznania i widzę tych kwadratowych ludzi w okularach, tych wymytych blondasów, mających swoje ustalone cnoty, ustalone radości i ustalone dowcipy, tych ludzi, noszących w sobie czynne pogotowie zareagowania na te same bodźce zawsze w ten sam nigdy nie zmieniony sposób — to widzę wówczas, jak niesłychanie trudną jest rzeczą wywalczyć u nich jakiegokolwiek przesunięcia energii. Wydobyć ją można zawsze — ale przesunąć, ale zmusić, by poruszyła nowy mechanizm, by się trochę zaawanturowała, by zapragnęła ryzyka, przygodę, by stała się zdobyczą — ani rusz! Poruszony ciężarek wróci zawsze do równowagi, ale do dawnej — nowej szukać nie chce. Doprowadzenie do doskonałości niektórych dziedzin stało się u Poznaniaków cnotą — ale i zawadą. Poznaniacy zdaje się „z natury” cierpi na pewną niedokrwiłość wyobraźni, a opinia „specja”, którą ma o sobie (zresztą słusznie) i w której go utwierdzają, odcięła go ostatecznie od poszukiwań. W wieku eksperymentów, takim jak nasz, nie eksperymentów „chcianych”, ale koniecznych, eksperymentów, które nie są niczym innym, jak poszukiwaniem nowej głębszej równowagi — tak nastawiony człowiek jest elementem trudnym do poruszenia. I obserwując Poznaniaków z bliska, widzi się dopiero jak papierowe są deklaracje o „orientacji zachodniej” w sensie jakiegoś „prymatu” Poznańskiego. Sztuka rządzenia jest sztuką eksperymentu, sztuką tropienia rzeczywistości na jej krętych ścieżkach, sztuką ustawicznej i wynalazczej przytomności wobec przepływu zdarzeń. Człowiek o reakcjach zbyt ustalonych, o zwężonej skali możliwości, stroniący od nowości i brzydzący się nią, nie nadaje się do tej roli. Zamykając w jedną formułę te uwagi, rzekłbym że do Poznania powinna Polska jeździć, żeby się od niego wielu rzeczy nauczyć, ale nie powinna się ludzi, że Poznań do niej przyjedzie. Nie lubi i nie umie podróżować.

„Emigracja”

Poznań dzisiejszy w porównaniu z Poznaniem z przed lat bodaj dziesięciu — jest nowym miastem. Zawdzięcza (?) tę zmianę ogromnemu napływowi „emigracji” z innych dzielnic. Kresowy akcent na Placu Wolności nikogo dzisiaj nie zdziwi. Mam wrażenie, że

może nigdzieindziej to przemieszanie międzydzielnicowe nie jest tak wielkie i tak go się nie wyczuwa jak właśnie w Poznaniu. Szczegół charakterystyczny: dzielnica najbardziej ekskluzywna stała się najszybciej terenem „kolonizacji”.

Sam będąc „emigrantem”, przestawałem z „emigracją” dużo i stąd nałapałem sporo obserwacji. Nie będę się silić ich wyczerpać ani być dokładnym. Będę mówił o tem, co bliżej mnie obeszło i lepiej się w pamięć wraziło. Tak, „poglądowo” przechodząc ten kalejdoskop wrażeń, zobaczy się tu i owo i może zacerpnie nieco poznańskiego zapachu.

Kiedy myślę o „emigrantach”, — staje mi przed oczyma Emil Zegadłowicz. Pisząc o nim, chcę sobie zrobić „wolną rękę”, i czytelnik nie powinien sobie tego tłumaczyć opacznie.

Trudno sobie wyobrazić czegoś (może nawet więcej niż „kogoś”) bardziej niedopasowanego do Poznania, niż Zegadłowicz.



EMIL ZEGADŁOWICZ karykatura R. Gineyki

Kiedy go widziałem rozmawiającego z solidnymi poznańczykami o solidnych sprawach, odnosiłem wrażenie że to jętką wdała się w dyskusję z wilkiem i udaje conajmniej psa. Niesłychana pierzchliwość tej srebrnej puszystej kuli z błyszczącymi szparkami oczu, ta umkliwość motyla objającego się o kamienie i udającego kamień — to było widoko wisko naprawdę pierwszorzędne. Nic zabawniejszego niż Zegadłowicz na czele katolickiego tygodnika. A przecież tak było! Ten człowiek, który (założę się!) do dziś — mimo całego tęczowego trenningu — nie wie i nie rozumie, że jest, że może być coś takiego jak katolicyzm, dyskutujący z pralantami i jednak jakimś tam cudem porozumiewający się z nimi — tak, w tem był ładunek irracjonalizmu, który trzeba ocenić, w który się trzeba wmyśleć, żeby do dna wysączyć jego smak. Wytworzyła się dokoła tej niezmiernie przecież sympatycznej, postaci beskidzkiego poety atmosfera pewnego niby buntu, jakaś „centrala tęsknot”, wyzwanie „innopolskiej” lekkomyślności, rzucone Poznaniowi.

Pomarańcze po dwa złote

I utworzyła się jakaś masoneria bez obrządku, bez rytuału, bez „założeń ideologicznych”, dobrana kluczem irracjonalnych t sknot i fluidów, które dążyły do wyładowania.

Tęsknoty owe miały siedzibę podstawową, a była nią doskonała winiarnia Nyki i Posłusznego na ulicy Wrocławskiej. Czuję w tej chwili ten zapach korka i czegoś zbutwiałego a mimo to szlachetnego. Ale jest w nim jeszcze jakaś nadwyżka, której darmoby szukać poza tą jedną winiarnią. To była — jak powiadam — podstawa, baza operacyjna. Tu się gadało, tu się brało górne cis tęsknot emigranckich. W tych improwizowanych pogawędach był Zegadłowicz mistrzem. Wyłaził z niego autor „Kolejdziolek beskidzkich”, — ach, żeby tak zawsze pisał! — Widzę szybkie ruchy jego małych rąk jakby rozrzucających niecierpliwie jakąś splątaną przedzę, żeby przedrzeć coś z niej wytrzasnąć — wyrzucić sztywność, dojść do zupełnego zuchwałstwa skrótów. Poeta miał tych pio-

runów moc w rękawie, a myśmy się grzali przy tym beskidzkim parszkającym iskrami kominie.

Ale czasem ciśnienie tęsknoty wyganiało nas poza Nykę — aż na poznański Montmartre, to znaczy w okolice Starego Rynku, gdzie są „lokale”. Dawniej toby się nazywało tanzbudy, — dziś dancingi. Te lokale! — Mieszana polskiego balaganu z niemieckim niezdarstwem. Poznańczyk traktuje wszystko serio. Warszawski kelner zawsze się trochę zgrywa. Jest aktorem. On też „dorabia” nastrój, pomaga gościowi „czuć się dobrze”. W Poznaniu — niema żartów. Dowcipu, zabawy, wesołości, i bo ja wiem czego jeszcze, żąda się z tą samą powagą, z tem samym skupieniem i godnością obywatelską, co wypłacenia dywidendy w banku. Poznańczyk nie powie: do diabła, nuda, — idźmy gdzieindziej! On zacznie tłumaczyć, że tu jest zła zabawa, dlaczego jest zła, jaka powinna być dobra, gdzie się dobrze bawił — i poważnie opuści skrytykowany lokal. Ta rzeczowość trochę razi tam, gdzie się już z powagi i zbyt godnego stosunku do siebie i świata rozgrzeszamy. Ale jest prawdziwą rozkoszą w życiu codziennym. W przeciętnym towarzystwie warszawskim, które spotyka się powiedzmy w czasie powakacyjnym, i opowiada sobie o przepędzonych wywczasach, słyszymy zazwyczaj nieartykułowany chichot plus porcję ploteczek najdrobniejszego kalibru. Poznańczyk jest turystą. Uważnym, pilnym, inteligentnym. Lubię w nich to uważne spojrzenie, to nastawienie eksploatatora rzeczywistości, to kulturalne i spokojne postanowienie wzbogacania się każdą chwilą życia.

Ale gdzieśmy to byli? — Tak, na poznańskim Montmartrze. Owóz te nasze eska, pady opierały się w ostatniej instancji o budę najbardziej mroczną, najkrwawiej odartą z wdzięku, najohydniejszą. Jak już źle — to do końca! Takeśmy to sobie wyfilozofowali. Pamiętam ten mały kręty korytarz, w którym „mieściła się” szatnia (nigdy na powrotnej drodze nie mogłem do niej trafić), a zwłaszcza tę salę z jakąś upiornie wysoką estradą w tej wyniosłości śmiesznej i wyzywającą. Pusto tam było, jak wymiółł. Zdaleka błyszczał zniemiecka wypucowany bufet. Gdzieś w kącie widzę czerwoną suknię miejscowej Carmen. Czerwoną z czarnem. Jeżeli jej nie było, wychodziło się od razu. Jeżeli zaś była, wówczas spełniał się rytuał. Skromny, tani i uroczy. Carmen przysiadła się do naszego stolika. Kusila nas, aby ktoś kupił jej pomarańczę. I „ktoś”, znudzony — to tak było z początku, przed skodyfikowaniem ceremonjału — włókl się wreszcie do bufetu. Carmen prosiła bufeciarki o pomarańczę, płaciło się za to dwa złote, a Carmen niby to bawiąc się złościstym owocem, wsuwała go cichaczem pod kłoz z powrotem. Kiedyśmy ten handlowy manewr spostrzegli, zażądaliśmy jawności. Wypracowaliśmy ustawę i wszystko szło według starannie obmyślanego protokołu. Nazywało się to „obrzędem wiecznej pomarańczy”. Carmen winna była z dyżurnym kawalerem przejść różnym krokiem do bufetu, zażądać pomarańczy, kawaler za to płacił swoje dwa złote ze sztywnością automatu, a Carmen jawnie i uroczyście wręczała pomarańczę bufeciarcie. Im się to robiło krócej, sztywniej i uroczyściej — tem wyższa była klasa ceremonjału. Wdzięk tej uroczyści polegał na krańcowej automatyzacji i jawności pospolitego zabiegu „lokalowego”, który się tutaj niejako zliturgizował. Do dobrego tonu należało natychmiast po spełnionym obrzędzie opuścić lokal. Jakiś śmiałek proponował, aby pomarańcza, będąca przedmiotem tej symbolicznej transakcji, była z kamienia. Sprawa była już na najlepszej drodze — kiedy właśnie wyjechał Zegadłowicz...

Z tych wycieczek w krainę fantazji trzeba jeszcze zapamiętać dwie wystraszone plamy atramentu — oczy prof. Franciszka Łukasiewicza, pianisty, którego rolę było podczas ceremonjału wiecznej pomarańczy spotykać sznyceł z jajkiem — potem profesor zniknął w sposób zgoła niepojęty i nieuchwytny. Potem czekało nas już tylko rzucenie się w czerń nocy, pociętą migocącymi smugami kolorowych reklam, obiecujących jakieś cuda na tem targowisku okropności. Muzyka rzępoliła z za szyb, kwiliła i drżała, wiotka i zwinna — i zawsze się zdawało, że tu, że tym razem, właśnie za tą szybką to będzie zupełnie inaczej, i ciekawie, i nadzwyczajnie. I zawsze było tak samo — i trzeba było poprostu wracać do domu.

Skręt w uliczkę patosu

Wszystko to było urocze — zgnię „pascystyczne” i dekadencje — oczywiście! — ale urocze. Ta kąpielka łagodnego opozycjonizmu, to obżarstwo obserwatorskie, wszystko to miało swój rytm, i układało się w kanalenę wcale zgrabną.

I oto jednego dnia — na Zegadłowicza poprostu „padło”. Poczł się wygnać, zapoznanym wieszczem, prześladowanym prorokiem. Cierpiał bez wdzięku — on, który go miał na funty. Wtedy to pojawił się ten okropny prowincjonalny (ale nie w poznańskim stylu, lecz w gorszym, koturnowo-młodopolskim) „list pasterski”, gdzie niby poeta rzucił Poznaniowi rękawicę. Posypały się „rewelacje” o poznańskim wstecznicwie, jakieś kazania z pod ciemnej gwiazdy, i gesty cierpiętnicze. Słowem — popsuł nam zabawę. Z najmilszego poety — konferansjera stał się patronem jakiegoś opozycjonizmu pośledniego obrzadku, podlanego sosem pojejrzanym wzniosłości. Mniejsza o „życiowy podkład” tej zmiany. Nie obchodzi mnie. Notuję tylko zmianę w barometrze.

Srebrnowłosy Emil spadł w naszych oczach jako kiper. A trzymał się długo na dobrym poziomie. Nagle zawrócił, zaczął przestawać na pierwszym smaku wina, w którym doszukiwaliśmy się już smaku dziesiątego. Zaczął rozmawiać jak lada „inteligent”, papierowy literat, dziennikarski „postępowiec”, nie znający się na smaku rzeczy. Jakby to była wielka sztuka zobaczyć w Poznaniu jego tak zwane „braki”, oceniane pod kątem tak zwanej „wyższej kultury”. Zrezygnował z mafji, którąśmy zawiązali, a która polegała na wyszukiwaniu dalszych powiązań, na wsączaniu się w głębsze podkłady, na docieraniu poprzez pieniążną się fałd do nurtu, na perwersji coraz dalszego zdzierania masek, a może na znajdowaniu smaku — właśnie w maskach, właśnie w tak zwanej powierzchni. Pocięło zabrakło oddechu, dał się nabrać gorszemu sobie...

Kukuła

Czy pozostaje to w jakim związku przyczynowym z „buntem” Zegadłowicza — nie wiem, dość że w tym samym mniej więcej czasie powstała Kukuła, czyli Różowa Kukułka, plód wynoszony w sercu świetnego rzeźbiarza (te baranki!) i najmilszego człowieka, Ludwika Pugeta. W tej Kukulce wzbierały do maksimum napięcia nastroje „emigracyjne”. Zaczęło się wtedy mówić o lekkości, ba — o Zielonym Baloniku (a dla ludzi pewnego pokroju kultura, literatura, a kto wie, może i historia Polski, zaczyna się od daty założenia tej krakowskiej instytucji). Ze trzeba coś takiego koniecznie, ale to koniecznie stworzyć w Poznaniu, bo to nasza misja, bez tego poprostu upadnie kultura.

Ta cała Kukulomachja była dla mnie wiodkiem ciekawym. Zobaczyłem raz jeszcze potęgę czasu, który przeminął. Ta gwałtowna ekshumacja kabaretu odsłoniła tylko jego zmurszałe kości. I wtedy to poczułem szaloną wdzięczność dla Boya, patrona wszystkich kabaretów świata za to, że tak pięknie, z takim talentem i z tak nieporównanym wdziękiem napisał tę książkę o Krakowie, jako o wielkim apokaliptycznym kabarecie. Już teraz nikt nie powie, mrugając znacząco, że tak „właściwie” to nie to co pisał Wyspiański, co przecierpiał i przetworzył Przybyszewski, ale to co przepili i jak przepili — to dopiero ma wartość, to dopiero jest coś — no tylko na to, mój bracie, trzeba mieć, uważasz, podniebienie takie jak ja — mniem — mniem. Nie powie tak już nikt, bo powiedział to Boy w sposób w swoim rodzaju skończony i zamykający ten rozdział raz na zawsze. Już nikt po nim nie ośmieli się powracać do biografii Michalika. Po arji Boya nikt już w tej sali śpiewać nie będzie.

Kukułka spróbowała — i źle zrobiła. Trudno, minął czas marginesów. Zyjemy w tekście, i to odbijamy „tłustym” drukiem. Epoka smaków, dopisków, komentarzyków, uroczych ciekawostek — minęła, zdaje się na długo.

Perypetje Kukuły miały parę momentów zastanawiających.

Ten kabaret urządził wieczory czy poranki poezji religijnej! Pod protektoratem pań od Sw. Wincentego a Paulo. Ale przecież kabaret „powinien” z urzędu wyszydzać pań od Sw. Wincentego a Paulo. Ta kukułka miała na szyję zawieszony medalik i w razie potrzeby nim pobrękiwała. Jednak nie wierzyła w swoje posłannictwo

tak mocno, by się zdobyć na otwarte, choćby tylko kabaretowe szyderstwo. Miała coś z „Tęczy”, starała się być grzeczna. Nie stać ją było na to minimum buntu wobec rzeczywistości, na który musi się zdobyć każdy prorok, nawet kabaretowy. Ugrzęzła w niesmacznych złośliwostkach personalnych.

Pewną rekompensatą tego braku była — jakżeby inaczej? — pornografja. Objął ten dział wcale tęgi specjalista, zdolny poeta p. A. M. Swinarski, który przyczynił się również do wydania almanachu Kukułki; na czele umieścił p. Swinarski swoją balladę czy pieśń wschodnią (nie pamiętam dokładnie, bo książka jest w pace, jeszcze nie rozpakowałem). Jest to stara wyświechtana pornograficzna anegdotka, przez autora uwierszowana i odśpiewywana z estrady. I gdyby tylko tyle, byłoby to jedynie nudne. Ale ten utwór ma swój smaczek dodatkowy, zupełnie obrzydliwy. Oto „bohaterem” pieśni czy ballady jest — Budda. No tak, bo w Poznaniu o Buddzie „wolno”, ba, nawet może być „dobrze widziane”: założyciel „konkurencyjnej” religii — „pozwoła”. — Inne utwory kukułkowe kręciły się koło odwiecznych tematów kabaretowej „erotyki” — ekshumowane mumie „klasycznej” pornografji. Zato kopalnią humoru była reklama, której tej niedokrwistej kukulce nie szczędził najczcigodniejszy poznański organ „katolicko-narodowy” umieszczający feljtoniki prokukulczane, niby odniechcenia, takie „akuku”. Jakie siły, jaka mafja, jaka kalkulacja, jakie obliczenia przez elewację skłoniły dostojny dziennik do popierania tej sprośnej lichoty — to jest zapewne temat zajmujący i może jaki Wasylewski przyszłości tę sprawę rozwikła. Na mój użytek osobisty wystarczył obraz organu Tartuffów okazującego epigonów pitigrillizmu.

Słowem kabaret „nie wziął”, choć podwórki miał mocne i do pewnego stopnia czciogodne. Nie te czasy, nie te czasy...

Poniedziałki i wtorki

W długiej i różowej cukierni Józwiaka na Placu Wolności. Nie łatwo było je zabrać. Ale wziął się do roboty wielkopoleńczyk z krwi i kości, w każdym odruchu, w każdej cnotce, a od wad „lokalnych” odciążony europeizmem z pierwszej ręki — prof. Michał Sobeski. Nie będę wyliczał stałych bywalców tych zebrań, choć widzę ich wszystkich, a nieopisanie ruchliwa broda prof. Jana Wyssockiego dyryguje tą orkiestrą wspomnień. Atletyczne bary Henryka Jackowskiego — niby stateczne basy — prowadzą akompaniament. — Ale trudnoby mi było nie wspomnieć niebiosiężnej postaci prof. Ulaszyna, znakomitego



prof. H. Ulaszyn — rys. J. Szpingiera

tego językoznawcy, zbuntowanego teologa, jednego z najgłębiej religijnych ludzi, jakiego udało mi się spotkać. Fanatyka prawdy, walczącego o nią z nieustępliwością i odwagą u nas niespotykaną. I trudno mi przy tej okazji nie wyrazić wstrętu, którego doznawałem wobec niecných ataków na jego osobę, prowadzonych przez konsorcjum patentowanych świętoszków. Widząc tę zgrają obiboków, stojących święte minki i pływających na prac człowieka, z którym się można nie zgadzać, ale którego hart ducha, bezinteresowność i wysokie umiłowanie prawdy stawiają na wyżynie, niedostępnej nawet w marzeniach (och, te ich marzenia!) handlarzom wzniosłym to-

warem — doznawało się obrzydzenia, a większego jeszcze smutku. — Szczęściem, najwyższy dostojnik kościoła katolickiego w Polsce inaczej potraktował działalność prof. Ulaszyna, zgola nie w stylu kapowym.

Te posiedzenia u Józwiaka — to była czasami prawdziwa kuźnia teologiczna, może je, dny zakątek w Polsce, gdzie zajmowano się serjo i z bezinteresownym zapalem sprawami wiary i dogmatu. Nie zapomnę nigdy Ulaszyna cedzącego przez zęby w powolnym napięciu szlachetnej zawziętości swe oskarżenia. Nie daj Boże, wdać się z nim w dysputę! O powrocie do domu przed pierwszą w nocy nie było wtedy mowy. Jeżeli nie zgadzałeś się z profesorem, tak cię znokautował argumentami, że traciłeś oddech. Opierało to się nieraz o rysunek. Siadaliśmy wówczas przy bocznym stoliku, zdala od gwaru mielących swe blahostki towarzyszy i dalsze ideograficznie rozważać jakąś zawilozę dogmatu czy instytucji katolickiej. Zawijazywał się czasem bój zacięty i nieustępliwy. Ale ile spraw się wyjaśniło, ile mgieł sztucznych się rozwiało! Po tych twardych utarczkach z żyrafoszym profesorem jakże dużo miałem rzetelnej uciechy, czytając te nasze sławetne „ucinające” repliki tego i owego piszącego pana, który jednym pociągnięciem pióra „miażdży” przeciwnika, odłączając go przy okazji i nieodwołalnie od Kościoła cierpiącego, wojującego i triumfującego. Wybawiał mnie zwyczaj z objęć profesorskich kochany Zenon Kosidowski, poeta, słynny swego czasu



Zenon Kosidowski — rys. J. Szpingiera

„demoralizator” Przybyszewskiego — wedle opinii żony pisarza —; jeden z najsympatyczniejszych ludzi Poznania, świetny znawca kultury wielkopolskiej, z oryginalnymi i śmiałymi pomysłami, a oficjalnie dyrektor programowy poznańskiego Radja. Po siedmiokrotnie wziętym odprowadzeniu się do domu (odległość „naszych” domów mniej więcej pięć kilometrów) z głową huczącą więcej od harców teologicznych niż od alkoholu, wracałem już na domowe leże, rozważać w cichości ducha, jakąś zawilozę angelologii, zbadać czy jest tak, jak chce Ulaszyn, czy też może jednak trochę inaczej.

Jeśli mnie kto zapyta, dlaczego zapowiedziałem poniedziałki i wtorki, a piszę tylko o poniedziałkach — to odpowiem na to zwięźle, że „wtorki” to zupełnie co innego. Mogę o nich poinformować zaledwie odlegle i powierzchownie. Zorganizowała się mianowicie niedawno bardzo miła kawiarnia artystyczna „Pod kaktusem”, ale bez żadnych kukulek, zato z wystawą obrazów. Udekorowana karykaturami pp. Smuczyskiego i Szpingiera (do dziś dnia żaden z tych dzielnych artystów poznańskich nie nadesłał mi obiecanych rysunków i karykatur, — a Szpingier poza tym wygląda jak bardzo sympatyczny czerwony balonik, który lada chwila zerwie się ze sznurka i pofrunie pod obłoki). Jest w tym lokalu pewien montparnassizm, ile potrzeba, żeby przy bardzo dobrym kremie i la kaktus rozmawiać z nielicznymi przyjaciółmi o walkach francuskich i ich znakomitym a dostojnym organizatorze p. Markiewicz, ostrożnie i z szacunkiem (w myśl mądrej maksymy: die Athlethen haben immer recht), a czasem nawet o takich blahostkach jak sztuka, literatura, teatr — ale to rzadziej. Tamże, w tej kawiarni pod kaktusem widzieć można — rzadko to pada — jedno jeszcze curiosum poznańskie, mianowicie Jana Jachowskiego, nietoperza księgarstwa polskiego, cały dzień zasytę gdzieś za szafą w najmroczniejszym kącie mistyka, wydawcę i teologa w jednej osobie, który syt całodziennych utarczek z komornikiem i finezyj teologicznych — wychodzi

wieczorem na miasto z miną przebiegłą (ilustrowane foljo Pisma Świętego pod pachą) pomyszkować, jak tam też rośnie zielona trawka plotki?... Ale Jachowski, to nie fe-



Jan Jachowski — rys. J. Szpingiera

ljeton, to powieść — żaden Pion nie wytrzyma. — O Was wszystkich, drodzy i zacni Panowie, wartoby napisać przynajmniej po tomie — i to się napewno zrobi, tylko nie zaraz.

Czas

Ulica Dąbrowskiego jest długa i wytyczona jej są następujące: przy początku zaraz No 1. skład papieru pani Hulanickiej (tamże wypożyczalnia książek — punkt bardzo ważny, dlaczego — to się okaże w końcu. Potem długo takie sobie domy, potem rynek Jeżycki. I wreszcie dalej długo, długo iść trzeba, aż dojdzie się do Ławicy, gdzie wysięgi konne. Naprawdę, niema w tej ulicy nic szczególnego, i trudno o coś banalniejszego niż ten wąski korytarz domów kiepsko budowanych, wyrastających z brudnego porbrzeża chodników. Ale koło rogu a raczej, jak w Poznaniu mówią, koło narożnika ulicy Kochanowskiego, jest oparkanie pustkowie z wystającym drzewem niepomierne ubogiem nawet w lecie, a noszącym wyraźne ślady wpływu Van Gogha. Patos wspomnień nie polega na ich treści, ale na tym mistycznym osadzie czasu, który swoją przedzą osnuwa rzeczy i nas razem z nimi w jeden żyjący organizm. Jest w tem coś z drążącej pracy kornika, ale i coś z nieustającej nawalnicy rozszalającego żywiołu.

Przechodzę myślą wzdłuż tej ulicy Dąbrowskiego, „mojej” ulicy. Zatrzymuję się przed małą restauracyjką „Czarodziejka”. Jest wieczór i przez szyby dudnią „cygańskie romanse”. Wewnątrz ktoś podchmielony wszczął dyskusję z nieznanym. Wszystko teraz się kręci koło jakiegoś słowa, koło jakiegoś pijackiego bezsensu. Awantura wisi na włosku. I w tej chwili właśnie jednemu z dyskutantów nagle odechciało się spierać. A klótnia, która już nakipiwała, na której ostrzu stał przez chwilę spokój i dobre imię knajpki — została nagle za drzwiami, niby pasażer, któremu pociąg z przed nosa uciekł. Człowiek słyszy jeszcze z ulicy dalszy ciąg tej samej melodji, która im wtórowała i skandowała ich nienawiść, której już niema, która gdzieś zginęła. Poprostu zamknęły się drzwi.

Tak i za mną teraz znikł Poznań, raz jeszcze stawiając mi przed oczy żywy sens słowa: przemijanie.

Na pożegnanie poszedłem do wypożyczalni pani Hulanickiej. Te same rulony tekury, te same laurki z orzelkiem do powin, szowań. Ale wszystko ma nową, prawie groźną wymowę. Bardzo szczerze słowa pożegnania, które już jedną nogą należą do nowej, dopiero wylaniającej się rzeczywistości. Sca, na zalatuje mi trochę Hamsunem i będę musiał ją wyzyskać w jakiej parodji. Ale narazie pokiwajmy głowami, wspomnijmy nasze dyskusje na temat „Ogniem i mieczem”. Bo któż w mojej nieobecności potrafi tak rozwinąć ten temat, — prawda?

Dziś, kiedy kończę te wspomnienia — jest dzień. Zaraz wyjdę na miasto i pewno zobaczę konwulsyjnie poskręcane łby końskie przy wozie naladowanym pod obłoki, który walczy z nadjeżdżającym tramwajem i wybierającą z przeciwnicy taksówką. Konie, osadzone na zadach, ruszają chrapami, a oko mają niespokojne i krwawe. Zupełnie jak na obrazach naszych znakomitych batalistów. Rwetes, krzyk, krótka interwencja policjanta. Pod granatową czapką mignął notes. Aha, to już nie Poznań... Warszawa, Warszawa...

„KLEOPATRA” – CYPRJANA NORWIDA

na scenie Teatru Lwowskiego

Między sfinksem a mumją naród
wychowany!...
Biada monarchom...
Akt I, scena 1.
Lecz dziś pono się wszystko równa
arcyłatwo.
Ongi inaczej było!
Coś za wiele w Egipcie jest inteligencji!...
Akt I, scena 1.
Stary Egipt patrzy w konstelację niebios
Ja z Europą w dziejów głębokość spoglądam.
Akt II, scena 1.



Marek Antoniusz – Wł. Krasnowiecki

Rzymu wielkość zaciera społeczność.
Wielki jest Rzym... lecz wielkość ta nie
znosi czleka!
Akt I, scena 1.
Marzyłem zawsze spotkać gdzieś Wielkiego
Męża!
Akt III, scena 2.
Tragedja
I Wojna, ręka w rękę jak dwie tanecznice,
Obrzędowe, solennie do przeznaczeń
wiodą...
Akt I, scena 5.

Próżnoby się w tej sztuce doszukiwać jakichś ustalonych szablonów, któreby pozwoliły zorientować się nam w całokształcie zagadnień, podniesionych i rozwiązanych przez Norwida. Ani tragedia grecka z formalnymi wymogami troistości miejsca, czasu i akcji oraz nieublaganą mojrą, jako motorem wszystkich czynów bohaterów, ani tak modny w XIX w. dramat szekspirowski o montażu częstokroć jakby filmowym, nie są w żadnym związku z tem widowiskiem, jakie wyobrażał sobie Norwid. Przerzuciwszy cały splot akcji, cały wątek, w sferę

idej a nie faktów, myśli a nie czynów, symbolów a nie żywych ludzi, epok a nie określonych wypadków, autor „Kleopatry” wyszedł daleko poza obręb normalnego pojmowania tego gatunku literackiego, któremu na imię tragedia. Stąd też niezwykła trudność i wystawienia przez teatr i zrozumienia przez widza całego tego typowo norwidowskiego toku dzieła. Wielokierunkowość i wieloznaczność każdej postaci, każdego gestu i słowa, wymaga niesłychanie subtelnej i wrażliwej analizy oraz szerokości światopoglądu czytelnika lub słuchacza. Jedyna rozprawa o tej tragedji P. Falkowskiego jest ześlizgnięciem się po powierzchni przedewszystkiem przez błędnie obrany cel: odnalezienia generalnej linii utworu. Tymczasem conajmniej dwuznaczność, jeśli nie trój- lub czwórznaczność każdego słowa i wynikających z niego wydarzeń pozostawiają każdy uproszczony a szablonowy wysiłek bezskutecznym i błędnym.

Sądzę, że dwa główne motywy spowodowały, że Norwid obrał sobie czasy ostatnich lat starożytności za tło dla swej tragedji: umiłowanie postaci Kleopatry oraz fakt blizkiego nadejścia czasów chrześcijańskich, które miały rzucić nowe światło zanurzonemu w ciemności światu starożytnemu. Co do pierwszej tezy to dowody mamy w samym utworze. Żadna z postaci występujących nie została tak wszechstronnie i niemal pieczołowicie pokazana jak Kleopatra: jako królowa, jako kochanka, polityk, małżonka, buntownica wobec bezduśnej tradycji, człowiek poszukujący i pragnący innego znamienitego, większego od siebie potęg ducha, wreszcie jako zwykła przeciętna kobieta, która chce być sobą, a nie igraszką niedorosłych małżonków „braci. Fizyczna strona postaci Kleopatry w dramacie Norwida jest niezwykle zastanawiająca, jeśli zważymy, że inne osoby zupełnie w tej płaszczyźnie pokazane nie są. Norwid tragedję królowej Egiptu związał przedewszystkiem z tragedją Kleopatry jako kobiety, które ciało, żywe i bujne, domaga się swobody i nieskrępowania żadnymi formami konwenansu, a umysł pożąda wielkości, męża bohatera, Cezara! Jej wypowiedzi w aktach pierwszym i trzecim to jakby głos milionów kobiet, które skrupowane formami ustrojów społecznych we wszystkich czasach, domagają się swobody dla swych natur młodych i świeżych, życia — i realizują swe pragnienia czynami wielkich mężów, przeciągających jak komety przez dzieje. „...Mężczyźni zwolna, zwolna do tego dojdą, iż z kobietą nie prócz słabości własnych nie potrafią dzielić. Kobiety mężom wzamian tylko dać potrafią jeden więcej tryumfu publicznego poklask. Dziewicze piersi moje podwakoń rękoma brał Rzym i dawał chłopcom-braciom do zabawy, jak krągłe do rzucania cacka. Spazm dziś cierpię”. Osiemnaścieletnia królowa woła: „Chcę życia: a wam za to, warzysza ciebie — (do mumji) — nicosć lichą!”.

Tu spleta się tragedia kobiety — Kleopatry z tragedją królowej. Pustka form starego Egiptu przytłacza żywego człowieka. Jedyny umysł zdolny podjąć toczące się wypad-

ki to Rycerz, Rzymianin z pochodzenia, na służbie egipskiej, reszta dworu to zakrzepłi w tradycji, zapatrzeni w przeszłość narodową, w chwałę kraju, który przetrwał tyle wieków, dworacy. U samego początku jakiegokolwiek czynu, będącego zdrową reakcją na zachodzące wypadki, występuje zagadnienie kasty, która nie pozwala ludziom zdolnym do wykonania pomyślanego zamiaru przedsięwziąć jakiegokolwiek działania. I podczas, kiedy jak wynika z relacji ochmistrza dworu Eukasta, wśród mas jest kompletny upadek kastowości, a więc istoty społeczności egipskiej, w sferach dworskich gromada kapłanów i dworzan, stanowiąca o losie kraju tkwi w uwielbieniu dla mądrości dawnych władców, uważając to wszystko, co oni przekazali testamentem, za najwyższy rozsądek i ostateczne rozwiązanie... Z niebywałą maestrią Norwid zaznaczył różnicę między skostnieniem sfer decydujących — bo w kasty zorganizowanych — a świeżością uczuć i żywotnością ludu, który zresztą skazany i tak został na niewolę rzymską, wobec pozostawienia mu przez wodzów i kapłanów jedynie do samodzielnej decyzji najciaśniej pojętego osobistego życia. Mun Falg i Ganimedion, chłopcy egipscy z pierwszego aktu, oraz chóry dziewcząt i chłopców w drugim, stanowią przepyszny obraz bujności ludowej, prymitywnej i biologicznej może, ale żywej, słonecznej, organicznej. Niewątpliwie jeszcze jeden zwrot głowy Norwida w stronę ludowości.

Na tle tak pojętego Egiptu pojawiają się Rzymianie. Cezar, postać epokowa, mąż przeznaczenia i jego cień, Marek Antoniusz, który jest obok Kleopatry osobistością niokłą, pomimo, iż potrafi w zakończeniu tragedji postąpić jak prawdziwy syn Imperjum. Cezar ginie, bo Rzym to społeczność, masa równych obywateli, a Cezar przecież jest wielkością niewymierną. Rzym i Egipt to dwa światy: wschód i zachód, Cezar i Kleopatra to indywidualności na miarę tytanów, a kiedy dwie epoki się spotykają, dwie kultury idą w zapasy ze sobą, przeszłość z przyszłością zazębiają się, huragan wywołują ponad stężalym światem. Powiada Marek Antoniusz do Hera w ostatnim akcie: „Słyszysz Czas Nowy ku nam idący... Rzuć dookoła okiem: trza porządku zewsząd... Słyszysz Czas odhodzący przeszły...” Temi tonami oczekiwania i przecucia kończy Norwid „Kleopatę”.

Właściwie sztuka nie jest skończona; w akcie trzecim przedstawia zwał głazów, które miały się stać częścią budowli, przyczem niektóre z nich całkowicie do tego zostały przygotowane. Niedokończenie dzieła, te bloki wielkich scen jeszcze rozrzucone i spiętrzone na sobie bez porządku architektonicznego stanowią uroczysko, gdzie tytan poezji szedł w zapasy z całymi ogromami zagadnień. Jest w tem coś podobnego do życia ruin.

Prapremjera lwowska jest czynem, jak na dzisiejsze warunki pracy w teatrze u nas niezwykle. Bowiem wystawiając podobną rzecz nie można liczyć zupełnie na jakikolwiek szerszy odzew publiczności. Ale pomimo tego dyrektor Wilam Horzyca nie za-

wał się wystawić bezpośrednio niemal po „Bachantkach” Eurypidesa dramatu Norwida. W subtelnie opracowanym przez siebie układzie scenicznym, który szczególnie w akcie trzecim znalazł pierwszorzędne zestawienie ułamkowych fragmentów poszczególnych scen, dał widowisko jedyne w dziejach sceny polskiej. Być może, że reżyserja P. Tarkiewicza nie wysnuła z tekstu wszystkich możliwości, szczególnie w scenach zbiorowych, jeśli jednak chodzi o koncepcję poszczególnych osób, była ona bez zarzutu. Układ gestu każdej postaci był właściwy i stylowy, a trzeba podkreślić, że obie grupy — rzymska i egipska, muszą być szczególnie



Kleopatra – Irena Eichlerówna

uwytłumione zewnętrznymi odruchami, bowiem autor w samym tekście, jednego użył, wa języka. Panna Eichlerówna, pokonawszy pewne ściszenia w pierwszym akcie, w następnych zagrała znakomicie, operując nie grą ciała, lecz wyłącznie walorem słowa, jako jedynym wyrazem swej kreacji. P. Białoszczyński jako Cezar i p. Krasnowiecki jako Marek Antoniusz w niczem nie ustępowali swej partnerce, stwarzając pierwszorzędne sylwetki mężów-idej. Panna Kiepieniówna, jako wróżbiarka Szechera, w scenie aktu drugiego była wcieleniem kasandrowego szaleństwa. Dekoracje Andrzeja Pronaszki osiągnęły właściwy styl dopiero w akcie trzecim. W dwóch pierwszych brakło im atmosfery Egiptu w ujęciu architektonicznym, oraz właściwego charakteru sytuacyjnego, wynikającego z tekstu dramatu. Zwłaszcza wznosząca się podłoga, zbyt schematycznie zastosowana, zupełnie nie odpowiada płaskim a za to przestronnym pałacom faraonów. Podobnie zbyt zbliżenie ścian dekoracji do widowni sprawiło wrażenie ciasnoty, co stoi także w sprzeczności z pojęciem ogromu tych królewskich siedzib. Natomiast kolorystyczne ujęcie było trafne, a kostjomy wręcz znakomite, w stylizacji nieprześcignione.

S. Flukowski.



Akt I. Scena zbiorowa



Akt III. Scena zbiorowa

ALEKSANDER HEFLICH

35-LECIE „PORADNIKA DLA „SAMOUKÓW”

...wszak „Poradnik dla samouków” był dla mojego pokolenia skarbnicą, skąd czerpaliśmy nietylko wiadomości i bibliografję, ale i szerszy horyzont myślowy, ale i większy zapał do pracy...

(Z przemówienia p. ministra W. R. i O. P. Janusza Jędrzejewicza na obchodzie 50-lecia Kasy im. Mianowskiego).

Trzydzieści pięć lat minęło od chwili ukazania się pierwszego tomu „Poradnika dla samouków”, opracowanego według planu Stanisława Michalskiego i niżej podpisanego. Rozpoczęliśmy wydawnictwo „Poradnika” w mrokach niewoli, nie licząc się z warunkami, w jakich pracować należało. O trudnościach napotykanym przy pracy z powodu braku funduszy, nie będę pisał. Uczynił to p. Z. Szwejkowski w „Zarysie historii Kasy im. Mianowskiego” w XV tomie „Nauki Polskiej”.

Tutaj chciałbym zaznaczyć wrażenie, jakie zrobiło ukazanie się pierwszego tomu „Poradnika”, wydanego po niezwykle niskiej cenie 50 kop. za egzemplarz, ograniczyć się jedynie do rozpatrzenia zasadniczych czterech tomów „Poradnika” i podzielić się z czytelnikami zapatrywaniami swoimi na całość wydawnictwa.

Była to, jak wiadomo, encyklopedia bibliografji rozumowanej w zakresie wszystkich nauk teoretycznych i ich zastosowań. Po ukazaniu się tomu pierwszego obejmującego nauki matematyczne, przyrodnicze i antropologiczne, psychologiczne, naukę wychowania oraz bibliografję rozumowaną dzieł z dziedziny zastosowań nauk przyrodniczych w opracowaniu pp. Dicksteina, Bierackiego, Kramsztyka, Znatowicza, Zienkowskiego, Morozowicza, Heilperna, Ejsmonda, Słóarskiego, Flauma, Krzywickiego, Andrzeja Świętochowskiego, Sosnkowskiego, Mahrburga i Karpowicza, niezależnie od pochlebnych wzmianek w prasie, otrzymaliśmy szereg listów od samouków. Przytaczam wyjątki z dwu listów, charakterystyczne ze względu na osoby piszących. Jeden z rzemieślników warszawskich pisze: „Właśnie jestem pod wrażeniem „Poradnika”, który w mej głowie wzbudził taki natłok myśli, że doprawdy nie wiem od czego zacząć, aby się podzielić temi wrażeniami... Dotychczas szliśmy pomaćku, każdy samodzielnie, nie mając żadnej organizowanej pomocy ludzi światlejszych, ani łączności pomiędzy sobą. Nie będę rozwodził się nad tem, ile tracił my czasu i energii na daremne poszukiwanie książek pożądaných, a ile marnowaliśmy pieniędzy na książki niewłaściwie kupione. Dziś wszystkie te trudności często zniechęcające do samouctwa dzięki „Poradnikowi” ustąpić muszą. Znajdując pomoc i poparcie umiętne w swych poszukiwaniach i pracach, zdolamy rezultaty wysiłków znakomicie zwiększyć. Ludziom, którzy wydali „Poradnik” należą się od nas samouków serdeczne, słowa podziękują nietylko za to, że wydali „Poradnik” dla nas, ale głównie dlatego, że zamierzają pracować w tym kierunku dalej bez przestanku i że zarazem odzywają się do czytelników w te słowa: wszelkie wskazówki i uwagi dotyczące wydawnictwa naszego z wdzięcznością przyjmujemy, z drugiej zaś strony, gdyby „Poradnik” nasz dla kogośkolwiek w kwestjach ogólnych lub szczegółowych był niewystarczającym i pozostawiał jakieś wątpliwości co do wyboru książek i metody użytkowania z nich, usłużymy najchętniej objaśnieniem dopełniającem, udzielonem przez specjalistę... Tą drogą zawiąże się jednocześnie pewna łączność

między światłymi i ciemniejszymi przedstawicielami naszego społeczeństwa. Szczególnie doniosłe znaczenie ma ów „Poradnik” dla nas samouków-rzemieślników, ponieważ możemy odnosić podwójny pożytek z jego porad i w ogólnym kształceniu i w fachowym...”

Jeden z wielu, słuchacz prawa Uniw. Jagiellońskiego, między innymi pisze: „Pozwólcie i mnie dołączyć do tego olbrzymiego bukietu podziękowań, który zebraliście listek po listku, kwiatek po kwiatku od wdzięcznych czytelników Waszego „Poradnika dla samouków” i moich kilka głęboko i szczerze odczuty słów podziękują. „Poradnik” Wasz był mi nietylko tą linią wytyczną na drodze mojego ogólnego wykształcenia, która wskazywała mi granicę dobrego i złego w literaturze naukowej i pracy, lecz nadto był w wielu szczególnych kwestiach i opracowaniach prawdziwym przewodnikiem i pomocnikiem. Za to Wam Sz. Panowie szczerze dziękuję”.

Tego rodzaju listy były osłodą i nagrodą za trudy poniesione przy wydawnictwie.

Tom drugi „Poradnika” ukazał się w r. 1899 i objął nauki filologiczne i historyczne w opracowaniu pp. Karłowicza, Kryńskiego, Chmielowskiego, Mieczynskiego, Chlebowski, Chrzanowski, Appla, Osterloffa, Benniego, Rowińskiego, Krzywickiego, Korzona, Askenazego, Kochanowskiego, Króla, Homolickiego, Smoleńskiego, Grabowskiego, Matuszewskiego, Mahrburga i Dembego.

Tom trzeci, zawierający nauki społeczne i filozoficzne wyszedł w r. 1900. Znajdujemy tu prace pp. Posnera, Krzywickiego, Forsztera, Koszutskiego, Krzeczowskiego, Al. Świętochowskiego i Matuszewskiego.

Drugie wydanie tomu pierwszego, który w przeciągu kilku miesięcy wyczerpał się całkowicie, opuściło prasę w r. 1901. Tom ten został znacznie rozszerzony. Zawierał bowiem prócz działów zamieszczonych w pierwszym wydaniu nowe prace, przy czem niektórzy działy opracowali inni uczeni. Znajdujemy tu nową pracę Ad. Mahrburga „Podział i układ nauk” oraz „Wskazówki do kompletowania zbiorów krajowych: mineralogicznych, petrograficznych, geologicznych w opracowaniu J. Lewińskiego. Nadto „Mechanicę teoretyczną” opracował Wł. Natanson, „Mineralogię i Geologię” Morozewicz, „Botanikę” Strumpf, „Zoologię” Ejsmond, „Biologię ogólną” Nusbaum, „Anatomję” i inne gałęzie morfologii organicznej” Świętecki, „Fizjologję” Kuczyński, „Anatomję i fizjologję układu nerwowego” Flatau, „Historję medycyny” Biegański, „Bibliografję dziejów lecznictwa” Peszke, „Higjenę” Bujwid i Kostecki.

Tom czwarty, który ukazał się w r. 1902 przyniósł: Zestawienie statystyczne bibliografji naukowej, wymienionej w trzech tomach „Poradnika”, oraz wykaz dzieł, któreby wypełniły najdotkliwsze braki polskiego piśmiennictwa naukowego w opracowaniu zbiorowym; systemy wykształcenia i o wykształceniu ogólnem Krzywickiego; dalszy ciąg nauk filozoficznych (logika i teoria poznania, filozofja i metapsychika) Mahrburga; naukę wychowania, metodykę, historję pedagogiki Karpowicza, Szczywny, Chmielowski; popularyzowanie wiedzy i samouctwo Michalskiego i Krzeczowskiego; dopełnienia do prac zawartych w tomie II, III i IV „Poradnika” w opracowaniu zbiorowem. Pomijam tu dalszy ciąg „Poradnika”, t. j. jego serję II i III pod tytułem „Świat i człowiek” i „Dzieje myśli”, jak również cykl poszczególnych nauk wychodzących obecnie

JUŻ WYSZŁO Z DRUKU
WACŁAWA BERENTA

ONEGDAJ

mowa miana przy otwarciu Akademii Literatury z drzeworytami ST. OSTOI-CHROSTOWSKIEGO

Cena egz.: na papierze zwykłym zł. 2.—

na papierze simili japońskim, egzemplarze podpisane przez W. Berenta i St. Ostoję-Chrostowskiego zł. 9.—

Ze względów technicznych zmuszeni byliśmy odłożyć do nr 2-go artykuł Jana Dürra: „Plan dramatu Wyspiańskiego o Dymitrze Samozwańcu”; drugą część artykułu Wł. Pobóg-Malinowskiego: „Piłsudski w Tokio”; drugą część ostatniego artykułu Olgierda Górki z cyklu: „OGNIEM i MIECZEM” a rzeczywistość historyczna” oraz pierwszą „Kolumnę Architektury” zawierającą artykuły: Barbary Brukalskiej i Jerzego Makowieckiego.

Poza temi pracami najbliższe numery „PIONU” zawierać będą m. inn.: St. Ign. Witkiewicza: „ZAWSZE TO SAMO AŻ DO ZNUDZENIA — CZYLI O POTRZEBIE ŚWIATOPOGLĄDU”.

Karola Irzykowskiego: „DYSKUSJA W AKADEMII LITERATURY O NAUCE JĘZYKA POLSKIEGO W SZKOŁACH”.

Wł. Tomkiewicza: „RZECZYWISTOŚĆ HISTORYCZNA W KRZYWEM ZWIERCIADLE”.

Jana Lorentowicza: „STYL BERENTA”.

Cykl interwiewów p. t. „ROZMOWY Z AKADEMIKAMI” i t. d.

pod redakcją St. Michalskiego w wydawnictwach Kasy Mianowskiego, której przekazałmy wszystkie prawa do naszego wydawnictwa, powstałego przed 35 laty, pragnę tylko zatrzymać się nieco dłużej nad właściwym „Poradnikiem dla samouków”, złożonym z pięciu pierwszych tomów (tom I w dwu wydaniach 1898 i 1901, tomy II, III i IV). Tomy te zawierające około 3000 str. w opracowaniu 53 ludzi nauki, z których większość, niestety, już nie żyje, były drogowskazem dla młodzieży naszej, jak czerpać wiedzę z istniejących dzieł zarówno w języku ojczystym, jak i w obcych, przy czem zwracano uwagę na to, co przyswoićby należało ubogiej naszej literaturze naukowej. Każdą z prac rozpoczynał artykuł przystępny, omawiający stanowisko danej nauki w szeregu innych nauk, jej zadania, jak również wskazówki metodyczne dla samouków. Bibliografję w językach polskim i kilku obcych tak ugrupowano, aby każdy mógł wybrać stosowne dla siebie dzieła łatwiejsze lub trudniejsze, a przytem mógł odróżnić rzeczy istotne od drugorzędnych.

Tom czwarty wieńczy całość „Poradnika” syntetyzując myśli zawarte w pracach poszczególnych, co ułatwia czytelnikowi orientowanie się w całości materiału, jaki podano, tembardziej, że prof. Krzywicki, pisząc o wykształceniu ogólnem, podaje program najważniejszych zagadnień nauk filozoficznych, przyrodniczych i społecznych. W zakończeniu tego tomu znajdujemy artykuł o popularyzowaniu wiedzy i samouctwie, dane liczbowe oraz tablice graficzne dotyczące czytelnictwa i samouctwa wśród różnych klas społecznych, glosy czytelników o książkach czytanych oraz literaturę przedmiotu. W odpowiedziach od redakcji znajdujemy krótkie artykuły np. o typach umysłowych, katalog księgozbioru za rubli 1000, składający się z dzieł najwybitniejszych i t. p.

Wydawnictwo „Poradnika” powstało w epoce szybkiego rozwoju prądów demokratyzacji wiedzy zarówno w Europie, jak i Ameryce, to też należało iść za posępem czasu. Część zadań, jakie mieliśmy przed sobą, spełnił „Poradnik”: ułatwił on samoukowi przy braku kierownictwa pracę nad kształceniem siebie oraz dał wskazówki, jak innym dopomóc w ich pracy.

Uważam, że właściwy „Poradnik dla samouków” skończył się z chwilą wydania czwartego tomu. „Świat i człowiek” oraz „Dzieje myśli” zawierają wskazówki do systematycznego czytania, aby wyrobić sobie naukowo uzasadniony pogląd na świat i naturę człowieka oraz poznać historję rozwoju nauki. Metody zaś badań naukowych oraz wskazówki do poszukiwań samodzielnych w obrębie poszczególnych gałęzi wiedzy przestają już być dostępnymi dla samouków we właściwym tego słowa znaczeniu, t. j. dla ludzi z przygotowaniem elementarnem. Przy-

stępując do wydawnictwa, zdawaliśmy sobie sprawę, że „Poradnik dla samouków” winien nosić charakter periodyczny, że, o ile wyczerpany zostanie w krótkim czasie, redakcja przystąpi do nowych wydań, i w ten sposób, doskonaląc się ciągle „Poradnik” stać będzie zawsze na wysokości nauki europejskiej.

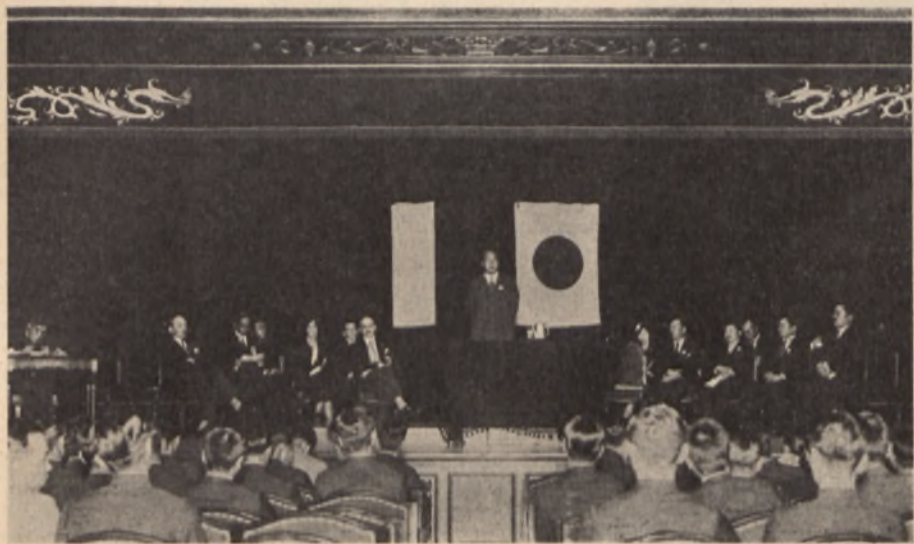
Nie ulegało żadnej wątpliwości, że społeczeństwo nasze potrzebować będzie zawsze podobnej encyklopedji, któraby, jak „Poradnik”, dawała co parę lat obraz stanu nauki współczesnej.

Chociaż samouctwo w „Poradniku” reformowanym pojmowane jest jako metoda kształcenia się na wszystkich poziomach, a głównie jako metoda studjów wyższych i badań samodzielnych, zawsze jednak ten poziom, do jakiego dostosowane były pierwsze formy „Poradnika dla samouków” przyciągać będzie większą ilość ludzi garnących się do wiedzy, lecz nie marzących o studjach samodzielnych.

Romuald Minkiewicz w artykule swoim „Książki przyrodnicze” (Poradnik dla samouków, tomy IV i V, krystalografja i mineralogja z petrografją, Warszawa, 1925) między innymi pisze: „Faktem jest, że obecne tomy Poradnika mogą służyć li tylko samoukom uczonym, i to uczonym długo i solidnie. Dla samouków mało uczonych lub wcale nieuczonych szkolnie nie mają żadnej wartości, mimo, że zawierają sześćdziesięciostronicowy dział odnośny (Stopień I i stopień II) opracowany niezwykle starannie i pięknie przez St. Małkowskiego... Gdzie ma szukać pomocy i porady człowiek nie stykający się z pedagogami doradcami (robotnik, majster, nauczyciel wiejski, rolnik i t. p.)”. Dalej przytacza p. Minkiewicz słowa p. Małkowskiego: „Popularnego wydawnictwa, odpowiadającego przedewszystkiem na pytanie, co należy i co warto czytać? — nie mogą zastąpić bogate treści tomy „Poradnika”. Potrzeba poradnika dla samouków, obejmującego wszystkie działy nauk przyrodniczych (i innych również!) ograniczonego jedynie do pierwszego stopnia i napisanego w sposób jak najbardziej popularny, daje się odczuwać coraz dotkliwiej w rozwijającej się w Polsce pracy samokształcenia wśród robotników i na kursach dla dorosłych” — i kończy: „oby znalazło się grono ludzi kompetentnych, którzy tę potrzebę wezmą do serca i zadość jej godnie uczynią zechcą”.

Oby zapoczątkowana przez nas praca znalazła chętnych i energicznych następców! Chociaż zapał do wiedzy znacznie ostygł, gdyż sport coraz bardziej rozwijający się zepchnął na drugi plan zamiłowanie do czytania i kształcenia się wśród młodzieży naszej, wierzę, że nastąpi czas, kiedy dobra książka naukowa zdoła znowu swoje prawa, a nowy zastęp uczonych torować jej będzie drogę, tak jak torował przed laty trzy, dziesięć pięć.





Inauguracyjne posiedzenie japońskiego Tow. Studenckiego Przyjaciół Polski w Tokio

NIPPON SHIMPA GAKUSEI KAI

Egzotyczny ten tytuł jest nazwą Japońskiego Tow. Studentów Przyjaciół Polski — w Tokio, w dosłownym, oficjalnym brzmieniu. Mimo pośpiesznych paquebotów, expressów i radiostacji, dość długo szła do nas wieść o powstaniu w stolicy Japonii pierwszej tego rodzaju organizacji młodzieży akademickiej, której celem jest wzajemne poznanie się i zbliżenie dwóch różnych kultur, dwóch tak odległych narodów. Akt przyjaźni, jaki zawierała w dniu 12 listopada młodzież japońska z akademicką młodzieżą polską na uroczystej inauguracji Towarzystwa, jest najlepszym wyrazem ogólnoludzkiej potrzeby wymiany myśli i współpracy międzynarodowej na polu kultury, nauki i sztuki.

Po czterech miesiącach prac przygotowawczych i konferencji, odbywających się między przedstawicielami młodzieży akademickiej, oraz ciałami profesorskimi poszczególnych uniwersytetów w Tokio, piękne zamierzenie znalazło ostateczną realizację. Przebieg uroczystości otwarcia, odbytej w jednym z najpoważniejszych klubów Japonii, którego członkami są dyplomanci uniwersytetu Waseda, świadczy najlepiej o poważnym charakterze nowej organizacji.

Wszystkie uniwersytety w Tokio delegowały swych przedstawicieli, zarówno z grona profesorów, jak i młodzieży. Z ramienia uniwersytetu Waseda obecnym był rektor dr. Hodzumi Tonaka, osobistość ceniona wysoko w świecie naukowym Japonii. Ministerstwo Spraw Zagranicznych reprezentował p. Mijakala, dalej — obecnym był przedstawiciel Towarzystwa Polsko-Japońskiego w Tokio baron Togo, oraz członkowie Poselstwa Rz. P.

W przemówieniu, trwającym niemal godzinę, rektor Hodzumi Tanaka omówił różnice kultur zachodniej i wschodniej, wynikającą z nich konieczność wymiany myśli i w końcu wyraził radość z powstania Towarzystwa, życząc młodzieży owocnej pracy.

Delegat uniwersytetu Rikkyo, profesor polityki ekonomicznej p. Matsushita poza podkreśleniem wartości płynących z międzynarodowej współpracy — podniósł owocność pracy i wysiłek Polski na polu odbudowy kraju, kładąc szczególny nacisk na rozwój Górnego Śląska i na budowę Gdyni w tempie wprost rekordowym.

Profesor Sono z uniwersytetu Keio (moment uchwycony na zdjęciu) mówił o historii Polski, jej rozbiorach i odrodzeniu, i zakończył słowami: w rękach młodzieży leży przyszłość spokoju i dobrobytu ludzkości.

Zaś prezes Towarzystwa, prof. międzynarodowego prawa prywatnego na uniwersytecie Waseda p. Takai mowę swoją zakończył krótkim:

„Dobrze mieć taką organizację w Japonii”.

Delegat Min. Spr. Zagranicznych, nawiązując do stosunków polsko-japońskich z r. 1905, mówił o pobycie Marszałka Piłsudskiego w Japonii i o jego rozmowach z gen. Yamagata. Ponadto omawiając ustrój Konstytucyjny Polski, podał życiorys Prezydenta Mościckiego.

Następnie przemawiał także przedstawiciel Towa Polsko-Japońskiego baron Togo, dając krótki szkic geografii gospodarczej Polski i stosunków handlowych między oboma krajami. W serdecznym tonie przemówień młodzieży brzmiała niemal duma, że są członkami pierwszego tego rodzaju Towarzystwa w Japonii oraz gorącą chęć poznania dalekiej Polski.

W końcu przemawiał Posel R. P. p. Mościcki, którego mowę tłumaczył z angielskiego na japoński baron Togo, oraz kapitan Słózarczyk attaché wojskowy, który przemówił po japońsku.

Poza wyżej wymienionymi przemówieniami oficjalnymi zabrali głos prof. Rato, filolog z uniwersytetu Rishso i prof. Otani z uniwersytetu Meiji. Studenci wypowiedzieli około 20 przemówień. Wiele serdecznych słów padło pod adresem Polski. Mówiono o polskiej kulturze, sztuce, muzyce, literaturze i esperantyzmie, który liczy w Japonii największą w świecie liczbę zwolenników, jest w niej bowiem około 1/2 miliona esperantystów.

Statut Towarzystwa zostanie dopiero wykończony. Na czele stoi jako prezes prof. Takai z uniwersytetu Waseda. Dodać trzeba, że większość członków Towarzystwa tworzą studenci tego właśnie uniwersytetu. Wiceprezsem jest prof. Kato z uniwersytetu Rishso. Następnym organem kierującym jest Komitet Wykonawczy, złożony z delegatów poszczególnych uczelni w Tokio, którego przewodniczącym jest p. Yatsuzaki st. prawa z uniwersytetu Waseda. Towarzystwo liczy 70 członków czynnych w tem 8 studentek. Ma ono utworzyć filje w miastach uniwersyteckich, w pierwszym rzędzie w Kyoto i Osaka.

Tow. Polsko-Japońskie w Tokio przyrzekło powstałej organizacji wszelką pomoc.

Inaugurację zakończyło wspólne przyjęcie, w czasie którego wygłoszono szereg przemówień, podnoszących, że Japońskie Tow. Przyjaciół Polski jest pierwszym tego rodzaju — i że trzeba aby się stało wzorem dla innych i by im przodowało.

J. K.

NA SCENACH STOLICY

„Zalotnicy niebiescy” — sztuka w 3-ach aktach Marji Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej na scenie Teatru Małego. Reżyserował J. Warnecki. Dekoracje S. Sliwińskiego. (Dnia 14.XII.1933).

Znakomita poetka zasmakowała naprawdę w twórczości teatralnej, widać to w każdym słowie jej ostatniego utworu, który technicznie wiarą autorki w sugestywną wartość teatru. Bo „Zalotnicy niebiescy” są przedsięwzięciem o wiele śmielszym, niż to się może, na pierwszy rzut oka, wydaje.

P. Jasnorzewska zapragnęła ni mniej ni więcej, tylko wypłenić z mężczyzny brzydkie uczucie zazdrości. Z mężczyzny — nie pokazano nam bowiem kobiety zazdrosnej, jakgdyby zazdrość była tylko udziałem mężczyzny. Pokazano nam natomiast dzieje takiego zazdrosnego mężczyzny, dzielnego lotnika, który znalazłszy ukochaną kobietę i zostawszy jej najprawdziwiej i najgłębiej wybranym, zamiast cieszyć się swoim szczęściem, bada jej przeszłość uczuciową i znalazłszy tam oprócz niedokochanego męża dwu poprzedników, robi to wszystko, co zwykł robić zazdrosny mężczyzna na scenie, aby potem ukarany w swym egoizmie, przeprowadzony przez leczniczą kurację szlachetniejszego uczucia przyjaźni, ukorzyć się przed miłością, wyzbytą z zazdrości.

Kapitan Jastramb znajduje się tembardziej w trudnym położeniu, że jego ukochana Nola miała szczególne powody sercowego niedosytu: poszukiwała mężczyzny, któryby ją pokochał mimo jej wartości duchowych — wedle autorki bowiem właśnie wartość duchowa Noli stała na przeszkodzie jej zbyt łatwemu szczęściu i była powodem, że ją kochankowie rychło porzucali. Nieszczęście zaś chciało, że ten właśnie mężczyzna, który obdarzony jest najpiękniejszą duszą, opiekun Noli, wyzbyty z wszelkich uczuć nieszlachetnych, wyzbyty z samej zazdrości, kapitan Herrub, został tak zeszepony w wypadku lotniczym, że go Nola wogóle nie dostrzega.

Trudno ten psychoterapeutyczny temat uznać za bardzo oryginalny i ciekawy. Natomiast sposób podania go jest najzupelniej przyjemny. Przez wszystkie słowa dialogu przeciera bowiem promyk poezji, a sceniczna struktura komedji jest już prawie bez zarzutu — dowód, że w twórczość sceniczną wkłada świetna poetka nietylko nadzieje, ale zapal i pracę. Nawet ta postać najmniej udana, zgubiona w połowie pierwszego aktu i znaleziona przypadkiem pod koniec sztuki, nawet ten doktor i mąż, ma w sobie coś interesującego, ma jakieś bliżej nieuchwytnie, lecz pełne uroku — pozory.

Jeszcze jedno trzeba zapisać na dobro tej sztuki, która nosi tytuł tak piękny, jak

by była wierszem, to nieznanne dotąd ze sceny, a mało znane w literaturze wogóle, środowisko lotnicze. W obrębie tego wojkowego lotniska, wśród ludzi tej bohaterkiej profesji, choć akcja mogłaby od biedoty czyć się analogicznie prawie w każdym innym środowisku, snuje się jakiś urok życia bliskiego nam, a jednak odrębnego. Niech nasi komedjopisarze biorą z p. Jasnorzewskiej przykład: czyż nie należy dbać o wyjście poza środowisko naszej komedji, która zawsze rozgrywać się musi w mieszkaniu tej samej mieszczańskiej rodziny, a gdy już wprowadza na scenę postać bohaterką, to prawie zawsze — jako najbanalniejszy schemat.

Zasługą reżysera komedji, p. Warneckiego, było doprowadzenie przedstawienia do świetnej precyzji wyrazu. Jako montaż techniczny i jako poziom gry aktorskiej było to przedstawienie wzorowe. Tembardziej wzorowe, że młodzi artyści Teatru Polskiego i Małego święcili w niej już sukces nielada: obok wytrawnej, świetnej sylwetki Brydzińskiego, trio młodych mężczyzn — Pośpielowski, Kreczmar i Milecki, dało coś więcej, niż obietnice talentu. Będą z nich aktorzy napewno niebylecy, jak będą aktorki z p. Swierczewskiej i Niwińskiej, gdy otrzymają role dla siebie właściwsze. Bo nie tak to łatwo mieć tyle poczucia humoru, co p. Pośpielowski; humoru tego brakło p. Swierczewskiej, pełnemu przecież liryzmu talentowi. Rolę epizodyczną zagrał żywo p. Zeleniński.

Role główne odegrali p. Gorczyńska i Warnecki. Warnecki celował świeżością i szczerością uczuć, które w kształcie tak sugestywnym skupił na sobie świetnego lotnika. Nie miał w sobie nic z realistycznego Otella — był naturalny, mocny i sympatyczny, co przecież w tej roli nie było łatwe do osiągnięcia. Najtrudniejsze jednak zadanie miała p. Gorczyńska, ona bowiem miała nas przekonać o słuszności tezy autorki. Nie mogła tego oczywiście p. Gorczyńska dokonać, zwłaszcza, że nadmiernie uwierzyła w lzy i nieszczęścia biednej Noli, zamiast wydobyc ten właściwy podkład duchowy, któryby ją uczynił nam bardziej zrozumiałą — jej zmysły. Chciała grać Nolę na szepcie, na zalamanym ręk, i pogłębiła nieco nieuzasadniony optymizm autorki. A przecież p. Gorczyńska stać nietylko na grę dobrą, którą i tym razem nam pokazała, ale i na temperament wybuchowy, choćby nie wiem jak utajony.

Dekoracje p. Sliwińskiego i aeroplany p. Warneckiego stworzyły do nieco nadmiernie luksusowe, ale cieszące precyzją wykonania.

Wl. Zawistowski

SHAW W POSZUKIWANIU BOGA

Shaw Bernard. Przygody czarnej dziewczyny w poszukiwaniu Boga, t. I. Sobieniowski. Tow. wyd. „Rój”, Warszawa, 1933, str. 210.

Nie jest to właściwie powieść, ani rozprawa, ale coś pośredniego między jednym a drugim. Oto czarna dziewczyna nawrócona przez misjonarkę, z biblią w ręce udaje się w poszukiwanie Boga. Wędruje poprzez najważniejsze religie i kultury świata oraz najbardziej palące zagadnienia dzisiejszego życia, prowadzi ją jednak pod rękę stary, mądry Shaw i uczy odróżniać to, co jest wartościowe od bezużytecznej plewy. W ten sposób Shaw z ogromną odwagą przystępuje do najzawilszych kwestyj, zilustrowanych w książce w niesłychanie syntetycznych skrótach. Zbliży się do każdego zagadnienia niejako od strony jego środka, wprowadza tylko momenty zasadnicze, szkielet treści, z pominięciem jakichkolwiek szczegółów, przyczem stawiając pod pręgierzem wszystkie wartości wiedzy, nauki i religii, nie waha się przed rzuceniem najśmielszych twierdzeń. Trudno o bardziej wyrafinowaną wnikliwość w istotę rzeczy i syntetyczniejsze przedstawienie myśli. Książka kończy się krytycznym sądem, opartym na ostrem nastawieniu, o roli biblii w dzisiejszym życiu, na rozmaitych jego polach. Już czarna dziewczyna zbliżając się do różnych mędrców i proroków, i nie mogąc zro-

zumieć ich objawień, gdzie Boga szukać należy, niejednokrotnie zagląda do biblii, zawsze jednak okazuje się, że kartki, które mogłyby dać jakąś odpowiedź, pouczenie, radę, rozsypały się w proch. To tłumacz Shaw w obszernym dowodzeniu kończącym książkę, gdzie wyjaśnia, że szło mu o potwierdzenie słów św. Tomasza z Akwinu, że wszystkie starożytne i nowożytne prawdy pochodzą z natchnienia Boga, ale codzienna obserwacja zdanie to w ten sposób uzupełnia, iż narzędzie którym posługuje się wyższa siła natchnienia może być bardzo niedoskonale i zmienić treść swojego posłannictwa w bardzo śmieszoną niedorzeczność. Oóż książka Shaw'a ma służyć wyjawieniom tych niedorzeczności we współczesnej wiedzy i religii. Z biegiem czasu niedorzeczne idee stracą swój urok, przestaną istnieć, fałszywe i niespełnione obietnice padną ofiarą cynicznego szyderstwa i utoną w zapomnieniu. W wyniku takiego przeszacowania zdrowe idee i myśli pozostaną i wejdą w skład ustalonej sumy poznania, zwanej wiedzą. Książka Shaw'a, która jest właśnie próbą takiego przeszacowania z pewnością ulegać będzie rozmaitym ocenom dodatnim, nawet w sensie entuzjazmu, i ujemnym w sensie ostrej krytyki, będzie jednak, z tej czy z innej strony, dziełem bezwarunkowo godnym uwagi.

A. Bar.

W ciągu r. 1934

GAZETA POLSKA

drukować będzie POWIEŚCI:

MICHAŁA CHOROMAŃSKIEGO

„Skandal w Wesotych Bagniskach”

JAROSŁAWA IWASZKIEWICZA

„Czerwone Tarcze”

POLI GOJAWICZYŃSKIEJ

„Dziewczęta z Nowolipek”

Na ekranach NOTATKI

S. O. S. GÓRA LODOWA
(Kino Majestic)

Wyprawa naukowa w strefy arktyczne z powodu opóźnienia natrafia na szereg przeszkód ze strony topniejących pól lodowych. Wartością tego filmu są przepyszne obrazy okolic podbiegunowych i surowej wrogię człowiekowi przyrody. Znakomite zdjęcia z samolotów śnieżnej pustyni i morza arktycznego, daje wiele emocji. Jednak wiele szczegółów wskazuje, że pejzaż był podrabiany. Niema w tym obrazie tej prostoty, jaką np. odznaczał się film z ekspedycji Byrda do bieguna południowego. Pomijając już sprawę zony Lawrence'a, zresztą potraktowaną bardzo pobieżnie, co tylko na korzyść można zapisać realizatorom, cały przebieg wyprawy nie trafia do przekonania naszymu zmysłowi faktu. Czuć tam za dużo realizacji i scenariusza, a brak wyrazu ekonomii ekspresji wewnętrznej podróżników. Poprostu brak bezpośredniości. Zresztą film został haniebnie pocięty, przez co stał się bezładny trochę i „puszczony”. Za to dyrekcja kina dała trzy rysunkowe obrázky długie i bez najmniejszego sensu. Coraz bardziej okazuje się, że inwencja w tej dziedzinie przekazuje dopisywać autorom. Film rysunkowy zamiast stać się nową zdobyczą w sztuce filmowej (a ma kolosalne przed sobą możliwości) został sprowadzony do blażeniństwa przez pokazywanie jakichś maszkar i historii bez krzty logiki. Dobrze jak jedną nam taką pokażą, ale karmić trzema odrazu, jest doprawdy godne potępienia.

OBIAD O OSMEJ
(Kino Światowid)

Obraz ten dotyka delikatnie snobizmu sfer amerykańskich na punkcie tytułów i tak zwanej sfery. Na obiedzie miało być pewne lordostwo, co było dla znakomitych nowojorkczyków wielką sensacją. Nie odbiega to od rzeczywistości i każdy, kto ma jakikolwiek tytuł, mógł się o tem przekonać, o ile oczywiście był w Ameryce i dobrze się reklamował. Bowiem bez reklamy tam nikt nie jest w stanie niczego pojąć. Podobno trzeba reklamować najprostszą rzecz, które są niezbędną koniecznością. Amerykanin nie będzie jadł, jeśli mu nie będą zachwalać obiadu. Towar bez reklamy wydaje się podejrzany towarem. Niektórzy kupcy i przemysłowcy, wogóle nie dbają o towar, tylko się reklamują. Zdaje się, że ów „shipsman” z filmu zaniedbywał reklamować swoją linję i dlatego staczał się w przepaść. Nie pomogło stuletnie istnienie firmy i różne tego rodzaju tradycje. Biedny armator (którego żona przypomniała jednak karabin maszynowy) został ocalony przez platynową blondynkę Jean Harlow od plajty.

Film ten aż się roi od gwiazd i przypomina drogę mleczną. Obydwaj Barrymore'owie, Dressler, Beerry, Harlow koncertową grą przesłaniają pewne braki tego skądinąd znakomitego technicznie filmu. Zasługuje na podkreślenie świetność djałogów Jean Harlow z rzadko spotykanym doskonałym brzmieniem mowy ludzkiej w filmie mówionym. Zasadniczą wadą jest w tym obrazie jak i w przeważnej większości innych charakter wyłącznie rozrywkowy, bez usiłowania chociażby stworzenia czegoś wartościowego.

BRAT DJABŁA
(Kino Stylowy)

Film przedstawia dzieje jednego ze zbliżeń włosko-angielskich. Sądymy, że takich zbliżeń było więcej i bardziej istotnych wobec dość częstych podróży młodych (starych też) angielok do Italji. Tym razem Fra Diavolo zupełnie nie leciał na piękną lady, a tylko na pieniądze, które ona sprytnie umieściła w pewnym miejscu pod suknią. Dalo to jej okazję podnoszenia tej ostatniej i kuszenia gorącego syna południa swemi wdziękami. Brutalne wmięszanie się karabinierów, którzy chcieli nawet rozstrzelać znakomitego bandytę, przerwało idyllę. Ostatecznie byk interwencją swoją zmusił dzielnych żołnierzy do ucieczki i ocalił Fra Diavola. Film urozmaicają swemi blażeniństwami Flip i Flap w roli służących. Poza tem jest miłość, a ponieważ nie mogła ona powstać między lady (miała męża-piernika) a Fra Diavola (interesowały go tylko pieniądze), więc na boku kochali się kapitan karabinierów i córka oberżysty. Sprawa zakończyła się ślubem, co wobec tylu związków małżeńskich, zawartych w czasie świąt, wcale nas nie dziwi. Cały czas pozatem muzyka grała wyjątki z opery i wtedy film przestawał przypominać kino, szczególnie, kiedy zachowawcy karabinierzy tańczyli z dziewczętami. Dzielny kapitan przypominał profilem Napoleona w chwili przejścia przez most pod Arcole i pomimo swego zachowania wcale nie śpiewał. Uważamy to za jedyny błąd tego filmu. Innych nie było wcale. Naprawdę.

SMIERĆ I JUBILEUSZ.

Pewnego rodzaju wydarzeniem w kolach intelektualnych francuskich jest nagłe zawieszenie czasopisma „Le Correspondant”. Organ katolicki, mający za sobą zgórą sto lat istnienia i tradycję współpracowników, jak Montalembert, Dupanloup, Falloux, de Broglie, Cochin, przestał wychodzić, jak wyjaśnia redakcja, z powodu trudności finansowych, na jakie narażone jest pismo zupełnie niezależne, nie pobierające znikąd subwencji, co — dodajmy — jest we Francji raczej wyjątkiem, niż regułą. Bratni organ „Etudes”, który przejął abonentów „Correspondanta” poświęca mu ciepłe wspomnienie.

Równocześnie obchodzi w Polsce 50-letni jubileusz analogiczne czasopismo „Przegląd Powszechny”, najpoważniejsze obecnie czasopismo katolickie o zainteresowaniach ogólnych. W dwóchsetnym numerze jubileuszowym szereg wybitnych piór, jak ks. Rostkowski, prof. Pigoń, prof. Czuma, prof. Kołaczny, omawia półwiekowy wkład „Przeglądu” w kulturę naukową polską.

NOWA SZTUKA BRUCKNERA

W Zurichu wystawiono po raz pierwszy nową sztukę Brucknera „Die Rassen”. Rzecz oparta jest na konflikcie czworga osób: trzech młodych ludzi i młodej kobiety, stu-

dających na jednym z uniwersytetów nadreńskich. Ludzie ci przyjaźnią się ze sobą i od wybuchu rewolucji hitlerowskiej zrywają ze sobą z dnia na dzień, dzieląc się na prześladowców i prześladowanych. W grę wchodzi również i konflikt erotyczny między jednym z studentów aryjskim i studentką-żydówką. Sztuka jest pełna ekspresji i oddaje napięcie środowiska. Ma być grana niebawem w Paryżu i Londynie.

DWIE KSIĄŻKI FEUCHTWANGERA.

Nakładem tow. wyd. Querido w Amsterdamzie wyszły dwie książki Feuchtwangera: „Siostry Oppenheim”, nowe wydanie „Wojny żydowskiej”, „Wojna Żydowska” ma ton klasyczny i treścią jej jest wojna Machabeuszów z Rzymianami za czasów Tytusa, syna Wespazjana. „Siostry Oppenheim” — to historia dostatniej, kulturalnej rodziny żydowskiej w obecnych Niemczech. O ile w „Wojnie Żydowskiej” Feuchtwangler odmalowuje bohaterską postawę żydów w stosunku do wroga, o tyle w „Siostrach Oppenheim” oddaje całkiem inną już postawę dzisiejszej burżuazji żydowskiej, która jest daleka od prądów rewolucyjnych i kontrrewolucyjnych wobec dziejącego się przewrotu i nie wybiega poza problemat dobrobytu, który jej odjęto. Bohaterzy powieści Feuchtwanglera skarżą się lecz nie walczą. O to oskarża ich autor.

POLOINICA

W „Collection Polonaise” wydana nakładem firmy wydawniczej Malfrère w Paryżu, ukazał się 5 z kolei tom „Listy Szopena”. Wyszły dotąd, w tej, od roku zaledwie istniejącej, kolekcji dwa tomy Sieroszewskiego, jeden Sienkiewicza i jeden Józefa Piłsudskiego. Listy Szopena w liczbie 337, z czego 38 nieznanych dotąd, wyszły w opracowaniu H. Opieńskiego i J. A. Teslary, stanowiąc najpełniejsze wydanie listów genialnego muzyka.

Tygodnik „Beaux-Arts” zamieścił w ostatnim numerze w odcinku „Les Livres”, bardzo pochlebną wzmiankę o książce Bolesława Makowskiego „L'Art en Poméranie”. „Pomijając — pisze między innymi autor wzmianki — wagę polityczną i ekonomiczną korytarza (fait de notoriété generale), ukazuje ona bogate pole, jakim jest Pomorze dla historyka i miłośnika sztuki”. Monografię p. Makowskiego nazywa autor dokumentem bardzo cennym dla historii sztuki polskiej.

Ten sam tygodnik, dając w numerze grudniowym ilustrację z momentu odsłonięcia w Warszawie pomnika poległych „Peowiaków” — dluta E. Wittiga, którego nazywa „à demi, Parisien”, podkreśla efekt monumentalności dzieła i piękną wyraz młodego oblicza umierającego bohatera. „Trzeba było i wielkiej śmiałości i majsterstwa, by wzniesić wespół banalności ulicy miejskiej, „une silhouette académique” pisze autor wzmianki. Mówiąc w dalszym ciągu o pracy twórczej Wittiga, przypomina, że „nie jest on nam nieznanym”. Toż wyrastał u boku Rodin'a, a jego „Ewa” zdobi dotąd ogród Trocadero. Na uwagę zasługuje niezmiernie trafne powiedzenie rzucone na temat powojennego rozwoju i rozbudowy Warszawy, które otwierają przed rzeźbiarzami „piękną i niebezpieczną karierę”.

Wystawa dla uczczenia 250-lecia odsieczy wiedeńskiej, zorganizowana przez Bibliotekę Polską w Paryżu, wzbudziła wielkie zainteresowanie w sferach naukowych i artystycznych stolicy Francji. Szereg pism, między innymi „Le Journal”, „Paris Midi”, „La Liberté” poświęciły jej obszernie artykuły. Uroczystości otwarcia wystawy przewodniczył marszałek Lyautey, który, jako reprezentant siły zbrojnej Francji, podkreślił w przemówieniu wstępem znaczenie oręża polskiego. Następnie kustosz biblioteki dr. Czesław Chowaniec wygłosił prelekcję o królu Janie Sobieskim i jego stosunkach z Francją, zaś b. konserwator fundacji Thiers'a p. Albert Depreaux mówił o Sobieskim w zwierniecie współczesnej sztuki.

Wystawa zgromadziła bardzo bogaty materiał w postaci współczesnych Sobieskiemu życiu, autografów gratulacyjnych, portretów i obrazów batalistycznych. Zebrane ekspozycje świadczą wymownie, jak silny oddźwięk znalazła odsiecz Wiednia w sztuce epoki.

O zwycięstwie Sobieskiego pod Wiedniem wygłosił ostatnio dwa odczyty (w Wicy i w Cusset) znany literat francuski p. P. Cazin.

W Muzeum Narodowym w Brukseli znajduje się wielkich rozmiarów obraz odsieczy wiedeńskiej. Przedstawia on moment, w którym król Jan Sobieski w otoczeniu swych obserwatorów ze szczytu Kalenbergu atak polskiej huszarii. Obraz ten malował zmarły przed miesiącem słynny malarz belgijski Emil Wauters w r. 1883 — w 200 rocznicę zwycięstwa pod Wiedniem.

Sowiecka Akademia Nauk ustanowiła na wielką skalę wymianę książek z Akademią Polską, oraz Uniwersytetem krakowskim i poznańskim. Studjuje ona obecnie szereg materiałów dotyczących historii Polski. Współpracownik Instytutu badań nad Słowiańszczyzną Czernobajew odkrył w publicznej bibliotece nieopublikowane dotąd rękopisy polskie z XVIII wieku, zawierające satyrę na duchowieństwo i magnaterję, których autorzy są przedstawicielami drobnej szlachty. Tenże Instytut wykrył ostatnio szereg nieznanych materiałów, charakteryzujących stosunek carskiego „samodzierżawia” do zachodniego Słowiaństwa.

W węgierskiej Akademii Umiejętności odbył się w ostatnich dniach listopada Poranek Polski, urządzony staraniem Tow. imienia Lafontaine'a, a poświęcony historii i literaturze polskiej. Za temat historyczny posłużył rok 1863, zaś w części literackiej poranka znalazły się dzieła Reymonta. Przemawiali prof. Lukinich, Paloczi, dr. Benedek i red. Vikar. Oddeklamowano utwory Petőffiego i Reymonta.

Nowojorski klub „Historical Society” zainaugurował wystawę pamiątek po Kazimierzu Pułaskim. Wystawa obejmująca szereg sztychów, książek, manuskryptów, listów etc. została urządzoną staraniem generalnego konsula Polskiego i Wojskowego klubu im. Pułaskiego.

W Nowym Yorku powstaje z inicjatywy tamtejszej Fundacji Kościuszkowskiej, t. zw. „Kościusko Foundation Club”. Zadaniem klubu jest gromadzenie i zakup w wielkich ilościach książek angielskich traktujących o Polsce, celem udostępnienia ich swym członkom, którzy mogliby nabywać je w ten sposób po cenie zniżonej w klubie. Zaznaczyć należy, że członkami klubu poza poszczególnymi jednostkami, będą całe organizacje, kluby i biblioteki.

Dr. Henri Bou z Besançon jeden z licznych francuskich „amis de la Pologne”, który napisał „Itinéraire en Pologne”, daje w tym roku karty z podróży p. t. „De Besançon à Cracovie” (3.600 km. en 8 C. V.), „Jakkolwiek Polska jest tylko fragmentem długiej trasy — opisuje ją bardzo malowniczo i żywo.

W dwóch rzymskich kinoteatrach „Modernissimo” a następnie „Cola di Ricuzo” wyświetlono polski film „Rok 1914”. Ponadto dodatek filmowy włoski Luce wyświetlał zdjęcia z niedawnych uroczystości krakowskich, oraz fragment manewrów polskiej kawalerji. Wielkie reklamowe afisze dla filmu „Rok 1914” przedstawiały szereg polskich legionistów przeciw jeździe czerkieskiej carskiej Rosji.

Artur Rubinstein daje obecnie we Włoszech szereg koncertów, Medjolan, Werona, Parma i inne. Koncerty te cieszą się wielkim powodzeniem. Pojawily się też notatki, zapowiadające koncerty Karola Szymanowskiego.

Na zaproszenie Neapolitańskiego Instytutu Mondragone p. Maria Kunciewiczowa wygłosiła interesujący odczyt p. t. „Pogawędka o literaturze, sztuce i kobietach w Polsce”. Zarówno odczyt, jak i liczne piosenki ludowe, które odśpiewała p. Kunciewiczowa na zakończenie prelekcji, spotkały się z bardzo przychylnym przyjęciem publiczności neapolitańskiej.

W wielkiej auli Uniwersytetu medjolańskiego wygłosiła, parę dni temu, p. Jadwiga Toeplitz „Mrozowska odczyt o „Ostatniej decydującej bitwie w historii świata”. Pisma włoskie, podając pokrótce treść odczytu, podkreślają wielkie zainteresowanie się licznymi zebranymi na odczyty publiczności, która z żywym zaciekawieniem śledziła słowa prelegentki o roli, jaką w tych walkach odegrała kobieta polska.

Jeszcze dalekie echa święta niepodległości Polski zagranicą. Z okazji tej rocznicy, poza ukazaniem się w prasie fińskiej szeregu artykułów i bogatych ilustracji, związanych z uroczystościami, jakie miały miejsce w całej Polsce, pojawił się w piśmie „Astra” artykuł p. Lisitziu o Janie Kasproviczu. Poza tem organ Związku Młodzieży zamieścił rzecz tejże autorki, poświęconą wielkim romantynom polskim.

Nakładem Malfrère, Paris 1933, wyszła książka naszej rodaczki p. Heleny Frejlich — „Flaubert d'après sa correspondance”. Bogaty materiał zbierany w ciągu kilku lat, jako też z talentem i sumiennnością przeprowadzona praca autorki, wniosły wiele nowego, żywego światła w rysunek postaci francuskiego pisarza, prowadząc nas poprzez wszystkie dziedziny i momenty duszy człowieka.

DEKADA
TYGODNIK AKADEMICKI
20 EGZEMPLARZY NAKŁA
CENA 10 gr.
WARSAWA
OSSOLIMSKICH 6

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ
Hurtownia dla księgarzy i wydawców, Sp. Akc. w Warszawie Plac Trzech Krzyży 8
Przyjmuje na skład główny wszelkie wydawnictwa polskie: księgarskie, rządowe i prywatne i rozsyła je, księgarzom w całej Polsce do komisowej sprzedaży. Udziela wskazówek technicznych autorom i osobom, wydającym książki własnym nakładem.
WYDAJE PISMO REKLAMOWE DLA KSIĘGARZY P. T. „KURJER KSIĘGARSKI”.

Redakcja. Warszawa, Aleja Róż 2, tel. 9.24.00; czynna poniedziałki, środy i soboty od godz. 18-19. Konto. P. K. O. Nr. 18.590
Administracja. Warszawa, Aleja Róż 2, tel. 8.21.44; czynna codziennie. Prenumerata w kraju: mies. 2 zł., kwart. 5 zł.; zagranicą: mies. 3 zł., kwart. 8 zł.
Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty—60 groszy za tekstem; 80 groszy w tekście.

Redaktor: Tadeusz Świącicki
Wydawca: za Tow. Kultury i Oświaty Julian Zielski
Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10